

Liz Fielding

Lista życzeń

PROLOG

- Juliet? Czas na nas.

Juliet Howard oderwała wzrok od zestawienia, nad którym ślęczała, i uśmiechnęła się do stojącego w drzwiach mężczyzny. Paul Graham miał na sobie typowy biurowy strój: ciemny garnitur, białą koszulę, krawat w dyskretne paski, lecz prezentował się zgoła nieprzeciętnie. Surowe wyraziste rysy przystojnej twarzy nadawały mu wygląd aktora lub modela. Prawdziwa ozdoba biura, myślała, patrząc, jak zamyka drzwi i kieruje się w jej stronę.

W dodatku należał wyłącznie do niej. A w każdym razie tak będzie z końcem miesiąca, gdy minie termin praktyki, na którą został oddelegowany z banku. Wtedy przestanie odnosić się do nich zasada zakazująca związków między pracownikami tej samej firmy. Paul dostosował się do ustalonych przez Juliet reguł, czasem tylko, zresztą w bardzo uroczy sposób, okazywał swoją niecierpliwość.

- Mówiłam ci, żebyś nie robił tego w biurze - skarciła go, gdy pochylił się nad biurkiem, żeby ją pocałować.

Paul z poważną miną położył dłoń na sercu.

- Przysięgam, że nie zrobię tego nigdy więcej.

Prawdę mówiąc, nie takiej reakcji oczekiwała, ale powiedziała tylko:

- Postaraj się dotrzymać słowa.

Niezrażony wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po jej wargach.

- Rozmazałem ci szminkę. Lepiej ją popraw, zanim wejdziesz do sali obrad. Naszemu wysoko urodzonemu prezesowi raczej nie przypadnie do gustu niechlujny makijaż.

Prezes firmy, któremu właśnie nadano tytuł szlachecki, jawnie głosił, że kobiety nadają się wyłącznie do wychowywania dzieci i innych nużących zajęć, którymi stworzeni do wyższych celów mężczyźni nie powinni zawracać sobie głowy. Nigdy nie ukrywał niechęci do Juliet. Jednak była cennym pracownikiem, toteż jak dotąd nie znalazł pretekstu, aby się jej pozbyć. Ze złośliwą satysfakcją pomyślała, że gdy przedstawi swój plan usprawnienia transportu, będzie musiał widywać ją znacznie częściej.

- W przyszłym tygodniu będzie miał poważniejsze problemy niż mój makijaż. - Uśmiechnęła się.

Ostatnio często miała powody do uśmiechu. Kiedy siedem lat temu, ściskając w garści dyplom z zarządzania, przysłała do firmy Markham i Ridley, jej największą ambicją było zasiąść w radzie nadzorczej tego konserwatywnego i zdominowanego przez mężczyzn przedsiębiorstwa. Firma zajmowała się wydobyciem surowców, głównie kruszyw, a stare przepisy, obowiązujące w przemyśle wydobywczym, praktycznie zapewniały jej monopol w niektórych regionach kraju.

Przed podjęciem pracy Juliet zrobiła rozeznanie w działalności przedsiębiorstwa, sprawdziła to i owo, po czym dała sobie dziesięć lat na realizację własnych planów.

Trzy miesiące temu John Ridley poprosił ją o przysto-

wanie długoterminowego planu obniżenia kosztów i podniesienia wydajności. Była to wyraźna zapowiedź, że Juliet może liczyć na awans. Teraz jej projekt był już właściwie gotowy. W poniedziałek zamierzała przedstawić go zarządowi.

Dostanie stanowisko dyrektora, dzięki czemu udowodni, że jest tyle samo warta co wszyscy mężczyźni razem wzięci. Miała też Paula, najbardziej troskliwego, czarującego i uprzejmego partnera, jakiego można sobie wymarzyć.

- Pójdę przypudrować nos. Pamiętaj, żeby wziąć dla mnie kieliszek szampana.

- Tak jest!

Poprawiła fryzurę, przejechała szminką po wargach, obciagneła zakiet i znów się uśmiechnęła. Przebyła długą drogę, wykonała mnóstwo ciężkiej pracy, ale opłaciło się. Wreszcie dotarła do celu.

Sala konferencyjna była już pełna i w pierwszej chwili Lucy nie dostrzegła Paula. Wzięła z tacy kieliszek szampana i wcisnęła się do środka. Najwyraźniej przyszła ostatnia. Trochę zbyt długo oddawała się marzeniom.

Nie miała czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bowiem dyrektor naczelny firmy poprosił o uwagę, po czym wzniosł toast na cześć prezesa. Juliet upiła łyk szampana, czekając na nieuniknione przemówienie.

Mowa była znacznie krótsza, niż Lucy się spodziewała. Ale jak się okazało, dla niej i tak o wiele za długa.

- Oczywiście jestem szczęśliwy z powodu zaszczytu, jakiego dostąpiłem, jednak największą przyjemność sprawi mi ogłoszenie czegoś, co planuję od chwili, gdy trzydzieści lat temu zostałem jego chrestnym ojcem. - Wyciągnął rękę.

kę i położył ją na ramieniu stojącego obok mężczyzny. Juliet wychyliła się, żeby zobaczyć, kto to taki.

Paul.

Pełną wyczekiwania ciszę zakłócił tylko nieznacznym szelest, gdy dwie lub trzy osoby odwróciły się, żeby spojrzeć na Juliet.

Paul był synem chrzestnym Markhama? Czemu nigdy o tym nie wspomniał?

- Wszyscy znacie Paula Grahama - ciągnął prezes. - Dołączył do nas kilka miesięcy temu i doskonale wykorzystał ten czas, przyglądając się, jak pracujemy. Za chwilę powie nam, jak możemy to robić lepiej. Od tej chwili zostaje członkiem zarządu, gdzie będzie odpowiedzialny za wdrożenie swoich planów dotyczących usprawnienia organizacji i ograniczenia kosztów transportu. Za rok nasza firma będzie pracować sprawniej i bardziej efektywnie. Ruszymy całą parą, zostawiając konkurencję daleko w tyle.

Pauza, która nastąpiła po tym oświadczeniu, trwała trochę za długo. Tym razem jednak nikt nie patrzył na Juliet. Zresztą i tak by tego nie spostrzegła. Widziała tylko Paula.

Jego plan? Całą parą? To było żywcem zerznięte z jej raportu...

Co tu się, do diabła, dzieje? Czemu Paul tam stoi? To ona powinna być na jego miejscu! Dlaczego w ogóle na nią nie patrzy? To jakiś żart...

- Przyłączcie się, proszę, do toastu, który chcę wnieść na cześć Paula i lepszej przyszłości.

To jednak nie był żart. Podnosząc kieliszek, jego lordowska mość spojrzał prosto na nią. Na jego twarzy pojawił się pełen wyższości uśmiech.

Nagle uświadomiła sobie, że Paul także uśmiecha się pogardliwie.

Kiedy zrobiła krok do przodu, ludzie zaczęli się rozstępować. Po raz pierwszy w życiu Juliet Howard, najbardziej na świecie zdyscyplinowana osoba, która zaplanowała swoje życie w najdrobniejszych szczegółach, zrobiła coś, nie myśląc o konsekwencjach.

Jej umysł zaprzętały wspomnienia chwil, które spędziła w towarzystwie Paula. Myślała o tym, jak zabiegał o nią, jak zadbał o to, żeby poczuła się bezpieczna i kochana. Nawet nie musiał specjalnie się starać. Po prostu zawsze był przy niej. Od pierwszego dnia, gdy ją poproszono, żeby pozwoliła mu przyglądać się swojej pracy.

Aż do judaszowego pocałunku, którym ją obdarzył kilka minut temu, po to tylko, żeby się spóźniła.

Był tylko jeden wyraz, jakim można go było określić. Rzuciła to słowo, po czym chlusnęła mu w twarz zawartością kieliszka.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wstawaj, Jools.

Juliet Howard słyszała głos matki, ale nawet nie drgnęła. Pakowanie - lub raczej przyglądanie się, jak matka pakuje jej rzeczy - i jazda samochodem do rodzinnego Melchesteru zupełnie pozbawiły ją energii. Wstanie z łóżka było ponad jej siły. Nie mogła się nawet zdobyć na wysiłek, żeby otworzyć oczy.

Dźwięk odsuwanych zasłon oznaczał, że pokój zalało światło słoneczne. Ukryła twarz w poduszce, próbując zignorować stukot wieszaków, kiedy matka wyciągała z szafy ubrania.

- Przygotowałam listę zakupów. W czasie weekendu nie miałam czasu ich zrobić, więc w domu nic nie ma. Może tobie jest wszystko jedno, czy coś jesz, czy nie, ale ja nie będę chodzić głodna. Rusz się wreszcie. W drodze do pracy podrzucę cię do miasta. Możesz zarejestrować się w tej agencji koło dworca autobusowego. Tylko najpierw odbierz dla mnie książkę z księgarni na Prior s Lane. Przypomnij Maggie Crawford, że wieczorem gramy w bingo.

Jej energia była nie do zniesienia.

- Może powinnaś pójść z nami - dodała.

- Na bingo?

- No, nareszcie coś cię ruszyło... - zakpiła mama.

Juliet przekręciła się na łóżku. Matka nie mówiła poważnie. Rzuciła uwagę o bingo, licząc na jej reakcję.

- Mamo, spóźnisz się do pracy.

- Na pewno, jeśli się wreszcie nie ruszysz. Idź wziąć prysznic, a ja zaparzę kawę.

-Nie... - Jednak mama nie zamierzała wdawać się w dyskusję. Nigdy zresztą nie miała czasu na bezprzedmiotowe dyskusje. Nie mogła pozwolić na to, aby pracodawca zarzucił jej brak sumiennosci tylko dlatego, że była samotną matką. Nigdy nie użalała się nad sobą. W każdym razie nie dała tego po sobie poznać, bo kto wie, ile łez wylała nocami, gdy nikt jej nie widział.

Czuąc do siebie obrzydzenie, Juliet spuściła nogi z łóżka. Właściwie zdała się na prawo ciąży. W ten sam sposób zwlekała się z łóżka w czasach, gdy o pójściu do szkoły myślała jak o kolejnym dniu piekielnej męki.

Słońce, które wpadało do pokoju, pogłębiało jej przygnębienie, a zapach kawy dobiegający z kuchni przyprawił ją o mdłości. Jednak musiała wziąć się w garść. Przecież matka poświęciła wszystko, żeby zapewnić jej lepsze życie. Nawet teraz pomagała jej się pozbierać. Wzięła wolne, żeby przyjechać do Londynu, i zajęła się wynajęciem mieszkania.

Nawet jako nastolatka Juliet potrafiła znaleźć w sobie dość siły, żeby stawić czoła problemom. A przecież wtedy każdy dzień, w którym udało jej się nie zwrócić na siebie uwagi znęcających się nad nią koleżanek, traktowała jak miłą niespodziankę...

Tym razem to nie siła, lecz poczucie winy zagnało ją

pod prysznic, kazało włożyć leżące na łóżku ubrania i zejść do samochodu. Słońce świeciło, ale był dopiero marzec i wiał zimny, przenikliwy wiatr.

- Nie zapomnij odebrać książki. I kup na targu pęczek żonkili - poleciła mama, gdy Juliet wysiadła z auta.

Najpierw poszła do agencji pośrednictwa pracy. Wypełniła kwestionariusz i patrzyła, jak kobieta za biurkiem go czyta.

- Nie odpowiedziała pani na pytanie, czemu odeszła z ostatniego miejsca pracy. Miała pani jakieś kłopoty ze swoim szefem?

- Nie, to ja byłam szefem. Ale wie pani, jak to bywa z mężczyznami. Zawsze chcą mieć nad wszystkim kontrolę. - Miała nadzieję, że to utnie kolejne pytania.

- No tak... - Kobieta rzuciła jej współczujące spojrzenie.
- Uczciwie mówiąc, ma pani trochę za wysokie kwalifikacje. Potrzebujemy niższych rangą pracowników szczebla kierowniczego. Powinna się pani zgłosić do jakiejś agencji w Londynie.

- Szukam czegoś tymczasowego, póki nie zdecyduję, co zamierzam dalej - odparła.

- Co cię podkusiło, żeby kupić ten śmietnik, Mac?

Gregor McLeod z satysfakcją oglądał swój najnowszy nabytek. To pewne, że dni świetności składu budowlanego i warsztatu remontowego już minęły. Takie małe firmy rzemieślnicze nie były w stanie konkurować z wielkimi magazynami dla majsterkowiczów, które wyrosły na obrzeżu miasta.

- Można powiedzieć, Neil, że kierowały mną sentyminen-

talne pobudki. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, pracowałem tutaj. Nie trwało to zbyt długo, ale nigdy nie zapomniałem tego doświadczenia.

Jego zastępca rozejrzał się dokoła.

- Nie wiedziałem o tym.

- Bo kiedy ja wypruwałem z siebie żyły dla Martyego Dukea, ty byłeś na studiach. Dźwigałem ciężary, które urągały wszelkim przepisom BHP.

- W takim razie nie są to chyba najmiłsze wspomnienia.

- Nie było tak źle. W biurze pracowała pierwszorzędną dziewczyna. Długie, błyszczące włosy, nogi aż do nieba i głęboki głos, aksamitny jak szwajcarska czekolada. Warto było przychodzić do pracy choćby dla jej uśmiechu.

Neil pokręcił głową z dezaprobatą.

- Co z tobą? Raz już się sparzyłeś. Powinieneś chyba dmuchać na zimne.

- No cóż, w tym przypadku dmuchałem. Dziewczyna nie potrafiła napisać poprawnie żadnego słowa, ale Duke wypłacał jej premię, bo faceci lubili u niej składać zamówienia.

- Ciekawe, czemu spodziewam się smutnego zakończenia tej historyjki.

- Pewno dlatego, że mnie znasz. - Greg wzruszył ramionami. - Kiedy zobaczyłem, jak Duke wciska łapy tam, gdzie nie powinien, nie próbowałem nawet tłumaczyć, że molestowanie seksualne pracowników jest niedopuszczalne, tylko po prostu przywaliłem mu. Zwolnił mnie z roboty, zanim jeszcze podniósł się z podłogi.

- Mam nadzieję, że bogini o ciepłym głosie okazała ci wdzięczność.

- Nie było to zbyt widoczne, pewno dlatego, że odgrywała rolę litościwej samarytanki wobec szefa. Najwyraźniej dobrze się postarała, bo wkrótce zaproponował jej pełny etat.

- Osobistej sekretarki?

- Nie. Żony. Najwidoczniej źle odczytałem sygnały. Co prawda nie miała nic przeciwko gorącym pieszczotom za biurową szafą, ale jej celem nie było zdobycie dziewiętnastoletniego robotnika bez perspektyw.

Neil uśmiechnął się szeroko, rozglądając się po zaniedbanym terenie.

- Cóż, popełniła błąd.

- Tak myślisz? Nie mogłem jej niczego zaproponować. Prawdę mówiąc, wyświadczyła mi ogromną przysługę. Dzięki niej zrozumiałem, że gdy do wyboru są silne mięśnie i pieniądze, kobiety zawsze wybiorą pieniądze. Dowiedziałem się też, że nie jestem stworzony do tego, aby pracować dla jakiegoś szefa.

- Zatem kupiłeś plac, który wcale ci nie jest potrzebny, i ocaliłeś Dukea przed bankructwem, żeby okazać wdzięczność jego żonie... Hm, właściwie to jej zawdzięczasz sukces...

- Sukces zawdzięczam ciężkiej pracy, umiejętności robienia interesów i w dużej mierze szczęściu. Kupiłem ten plac z wielu powodów, a najprzyjemniejszy okazał się fakt, że Duke musiał mi spojrzeć w oczy i zwracać się do mnie „panie McLeod”.

- Jego żona przy tym była?

- Wciąż jest jego sekretarką. Wyobrażasz sobie?

- Trudno to nazwać oszałamiającą karierą. Miała ci coś do powiedzenia?

- Niewiele. - Skrzywił się niechętnie. - Dopiero gdy odprowadzała mnie do drzwi, szepnęła: „Zadzwoń...”.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, pomyślała Juliet, wychodząc z agencji. Można skreślić jedną pozycję z listy, uznała, kierując się do sklepu. Im szybciej zrobi zakupy, tym prędzej będzie mogła wrócić do domu.

Na dnie koszyka leżał zeszyt. Większość kobiet robi listy zakupów na zużytych kopertach, ale nie jej matka. Zawsze utrzymywała, że dzięki zapiskom w zeszycie ma wolną głowę i może myśleć o poważniejszych sprawach. Poza tym lubiła wykreślać kolejne pozycje, szczególnie te, które zaczynały się od słowa „zapłacić...”.

Swój zwyczaj wpoiliła córce, zachęcając ją do zapisywania nie tylko spraw bieżących, ale też planów na przyszły rok, a nawet kolejne dziesięciolecie.

Tłumaczyła też, że nie należy zapisywać wyłącznie wielkich zamierzeń, bo łatwo się zniechęcić. Cały sekret polegał na wpisywaniu absolutnie każdego drobiazgu, nawet jeśli chodziło o kupienie bochenka chleba. Dzięki temu odnoszone sukcesy będą bardziej widoczne.

Juliet sięgnęła do koszyka i ze zdziwieniem spostrzegła, że to jej stary zeszyt. Miała chyba dwanaście lub trzynaście lat, gdy dostała go na Gwiazdkę. Doskonale pamiętała, jak bardzo ucieszyła się, widząc błyszczącą czarną okładkę i jaskrawoczerwone kółka. Do tej pory jej zeszyty zawsze ozdabiały wizerunki słodkich kotków lub bohaterów kreskówek. Poczuła się bardzo dorosłe, toteż starannie podpisała nowy kołonotatnik:

PLANY NA ŻYCIE. JULIET HOWARD

W tej chwili etykieta stała się prawie nieczytelna, połyskliwa okładka wytarła się od upychania zeszytu na dnie szkolnej torby, gdzie nie zagrażały mu wścibskie oczy złośliwych koleżanek.

Westchnęła ciężko, wspominając tęsknie samotną dziewczynkę, jaką wówczas była. Ktoś ją potrącił, mrużąc pod nosem gniewne uwagi o zawalidrogach, uciekła więc do pobliskiego baru i zamówiła kawę, na którą wcale nie miała ochoty.

Czego tamto dziecko najbardziej pragnęło?

Pamiętała swoje wielkie plany, które zresztą nigdy nie uległy zmianie. Studia na dobrym uniwersytecie, dyplom z wyróżnieniem i odniesienie równie wielkiego sukcesu, jak pewna kobieta, która kiedyś otworzyła u nich w mieście filię sklepu z produktami do aromaterapii.

Przerzucała kartki, siedząc nad stygnącą kawą. Sumienie przystąpiła do realizacji swoich planów. Piątka z matematyki, terminowo oddawane prace, utrzymanie porządku w pokoju. Potem przyszła kolej na najszybsze marzenia: obcięcie włosów tak krótko, żeby mogła je nastroszyć za pomocą żelu, jak to robiły najbardziej atrakcyjne dziewczyny w szkole. Niesamowicie drogie buty sportowe, by upodobnić się do koleżanek. A także wyjazd do Disneylandu pod Paryżem. Czy faktycznie chciała tam wtedy pojechać, czy też umieściła to na liście, bo wydawało jej się, że wszyscy koledzy już tam byli? Nawet tacy jak ona, z niepełnych rodzin.

Jakikolwiek miała powód, to marzenie nigdy nie zostało odhaczone. Jak zresztą wiele innych.

Właściwie mogłaby spakować walizkę i wybrać się tam

teraz. Tyle że byłaby to dość żałosna wyprawa. Do Disneylandu należało jechać z dziećmi, z którymi można by dzielić radość zwiedzania tej magicznej krainy.

W zeszycie zaplanowała, że będzie miała czworo. Wtedy jeszcze nie sprecyzowała, kto miałby zostać ich ojcem.

To była ostatnia pozycja na jej liście. Niedługo potem porzuciła swój zeszyt. Tak to bywa z planami. Wciąż ulegają zmianom, a życie bardziej przypomina grę planszową, w której raz poruszasz się do przodu, a raz musisz się cofnąć o kilka pól...

Odwróciła kartkę. Lista zakupów nie została zapisana w zeszycie, lecz na żółtej samoprzylepnej karteczce. Najwidoczniej w ten niezbyt subtelny sposób mama chciała dać jej do zrozumienia, że życie nie kończy się tylko dlatego, że kilka pozycji z rubryki „osiągalne” trzeba przesunąć do rubryki „całkiem niemożliwe”.

Należało po prostu sporządzić nową listę, napisać nowy plan pięcioletni. A jeśli chodzi o te nieosiągalne marzenia...

- Wszystko po kolei, mamó - mruknęła pod nosem, wrzucając zeszyt do koszyka.

Lista zakupów nie zawierała nic szczególnego, czego nie mogłaby dostać w sklepie na rogu. Pozostawało odebranie książki. No i żonkile, które mama bez wątplenia wybrała ze względu na ich przeraźliwie radosny kolor.

Wybrnęła z sytuacji, kupując kilka białych narcyzów na straganie na rogu Priors Lane, po czym ruszyła w kierunku księgarni.

Im prędzej to załatwię, tym szybciej będę w domu, powtórzyła w myślach. I co wtedy? Prawdopodobnie będzie

siedzieć, wpatrując się w ścianę i użalając się nad sobą. Czy mama kiedykolwiek pozwoliła sobie na tak żałosne zachowanie? Więc dlaczego z nią postępowała tak delikatnie? Czemu nie kazała jej wziąć się w garść?

Chociaż nie... Rzuciła okiem na zeszyt leżący na dnie koszyka. Przecież matka dawała jej to do zrozumienia, sugerując, że powinna sporządzić nową listę spraw do załatwienia. Pierwszy punkt nie przysparzał problemów: przestać użalać się nad sobą.

Nie, to niedobry pomysł. Punkty planu musiały zawierać konkretne sprawy, które można było odhaczyć jako załatwione. A więc jeszcze raz. Punkt pierwszy: jak najszybciej znaleźć pracę.

Wtedy na pewno nie starczy jej czasu na narzekanie.

Niestety, nikt o zdrowych zmysłach nie będzie chciał zatrudnić osoby, która byłemu pracodawcy i jego protegowanemu popsuła uroczysty dzień, omal topiąc ich w szampanie.

Czuła ulgę, układając w myśli listę różnych okropnych rzeczy, które chętnie zrobiłaby lordowi Markhamowi i jego żałosnemu chrześniakowi. Niestety, tych planów nigdy nie będzie w stanie zrealizować. Musiała wymyślić coś, co zdoła osiągnąć. Dopiero wtedy poczuje się lepiej.

Przerwała swoje rozmyślenia i rozejrzała się wokół, niepewna, gdzie się znajduje. Priors Lane była krętą uliczką, która prowadziła od rzeki na katedralne wzgórze. Właściwie nie była to jedna ulica, lecz sieć wąskich zaułków i alejek, które dawno temu tworzyły serce średniowiecznego miasta, całkiem różne od nijakiego, nowoczesnego cen-

trum, gdzie pełno było identycznych sklepów, jakie można teraz spotkać w każdym mieście.

Kiedyś robiło się zakupy w uroczych małych sklepikach i szykownych butikach, a powietrze przesycone było aromatem świeżo palonej kawy. Obecnie przeważały sklepy prowadzone przez fundacje dobroczynne, co świadczyło o tym, że dostatek w tej okolicy należał do przeszłości. Niektóre sklepiki jeszcze jakoś się trzymały, ale dramatycznie potrzebowały świeżej farby.

Poczuła irytację, widząc takie marnotrawstwo. O czym myślą radni miejscy? Bywała w miastach, gdzie takie miejsca stały się największą turystyczną atrakcją. Zyski, jakie dzięki nim osiągnano, przyczyniały się do rozwoju całej okolicy.

Być może wywołał to ten gniewny nastrój, ale kiedy doleciał do niej zapach świeżego pieczywa, nagle poczuła głód. W małej piekarni kupiła ciepłą jeszcze bagietkę, a potem kawałek sera i kilka oliwek.

Kiedy wchodziła do księgarni, nad drzwiami zabręczał dzwonek. Tutaj również nic się nie zmieniło. Żadnych foteli, kawy, przekąsek... Nic, co w nowoczesnym handlu książkami zachęca klientów, żeby zostali jak najdłużej.

Udało jej się znaleźć książkę Cornwella, którą mama umieściła na liście. Zawsze lubiła kryminały, w których główna bohaterka była silną kobietą.

W sklepie nie było nikogo, komu mogłaby zapłacić. Okrążyła półki, które dzieliły sklep na dwie części, i ze zdumieniem spostrzegła szereg sof i foteli oraz szafy wypełnione używanymi książkami.

- Halo? Pani Crawford? - zawołała, idąc w stronę małego biura na zapleczu. - Jest tu...

W tym momencie dostrzegła Maggie Crawford. Leżała na podłodze, obok przewróconego krzesła.

Patrząc na jej bladą twarz, Juliet przeraziła się, że kobieta nie żyje. W odruchu paniki miała ochotę rzucić się do ucieczki. Byle tylko ktoś inny znalazł ciało i zajął się wszystkim.

Zaraz jednak upuściła trzymane w ręku rzeczy i pobiegła na pomoc.

- Pani Crawford? Czy pani mnie słyszy?

Starsza kobieta uniosła powieki. Wydawała się odrobinę zdziwiona.

- O, witaj, moja droga. Jesteś Juliet, prawda? Twoja mama wspomniała, że wpadniesz... - Głos miała słaby, ale przynajmniej mówiła rozumnie. - Boże, dlaczego ja leżę na podłodze?

- Nie! - Juliet zdecydowanie położyła rękę na ramieniu kobiety, gdy ta próbowała się podnieść. - Proszę się nie ruszać. Spadła pani z krzesła. - Wyciągnęła z kieszeni komórkę. Wybrała numer pogotowia, jednocześnie rozpinając płaszcz. Przekładając aparat z ręki do ręki, zsunęła płaszcz z ramion i przykryła leżącą kobietę.

- Chodzi o panią Crawford. Margaret Crawford. Księgarnia na Prior s Lane... - tłumaczyła dyspozytorowi.

- Mój Boże, ależ narobiłam zamieszania.

- Co pani opowiada! - Schowała telefon, przyklękła na podłodze i zaczęła rozcierać dłonie pani Crawford. - Pomoc jest już w drodze. Jak dawno to się stało?

- Nie wiem, kochanie. Chciałam zasłonić okno kawał-

kiem tektury - mówiła. - Próbowałam tam sięgnąć, gdy nagle zakręciło mi się w głowie, a potem...

- Cii...

- Nie rozumiesz. Nie mogę tak tego zostawić...

Kiedy Juliet uniosła głowę, spostrzegła, że jedna z szybek jest zbita tuż przy kłamce. Najwyraźniej ktoś próbował się tu włamać.

Włączyła mały elektryczny piecyk, żeby zneutralizować zimne powietrze wpadające przez okno. A potem starała się uspokoić zdenerwowaną kobietę.

- Proszę się nie martwić. Coś wymyślę, znajdę kogoś, kto to naprawi, gdy tylko... - przerwała, słysząc, że ktoś otwiera drzwi księgarni.

- Halo? Kto wzywał pogotowie?

- Tutaj! - Poczuła ulgę, że ktoś przejmie odpowiedzialność za starszą panią. Miała dość słabe pojęcie o zasadach udzielania pierwszej pomocy.

Co innego okno. Z tym umiała sobie poradzić. Albo przynajmniej znaleźć kogoś, kto zrobi to za nią. Po drugiej stronie ulicy był sklep żelazny. Szyld nad drzwiami z dumą informował, że oferują towary i usługi w dawnym dobrym stylu.

- To chwilę potrwa, zanim ją zabierzecie, prawda? - zwróciła się do sanitariusza. - Muszę znaleźć kogoś, kto naprawi okno. Bardzo ją to dręczy...

- Może załatwi to pani później? Chcemy jeszcze zadać pani parę pytań.

- Ale... - zaczęła, lecz zaraz się powstrzymała. - Tak, oczywiście. - Podała swoje nazwisko i odpowiedziała na pytania.

Dzwonek nad drzwiami ponownie zabrzęczał.

- W porządku, może pani iść do klienta. - Sanitariusz uśmiechnął się do niej.

Już chciała zaprotestować, że sama jest klientką, ale dała spokój. Trzeba po prostu wywiesić tabliczkę, że sklep jest czasowo zamknięty.

- Przepraszam - odezwała się do kobiety, która stała przy ladzie, szukając czegoś w torbie. - Obawiam się, że w tej chwili nikt nie będzie mógł pani obsłużyć...

- Nie trzeba mnie obsługiwać. Przyszłam odebrać książkę, którą zamówiłam. Już za nią zapłaciłam. - Na dowód wyciągnęła paragon. Widząc, że Juliet nie wie, o co chodzi, dodała: - Maggie zwykle trzyma specjalne zamówienia na półce pod biurkiem.

- O, rzeczywiście. Czy to ta książka? - Wyciągnęła gruby historyczny romans w miękkiej oprawie. Najwyraźniej zamówiono ich więcej, bo na półce leżało jeszcze kilka identycznych egzemplarzy. - Chyba cieszy się dużym powodzeniem - zauważyła.

- W tym miesiącu nasz Klub Miłośników Romansów wybrał tę pozycję. Maggie zawsze nam je sprowadza.

- Rozumiem. - Włożyła powieść do plastikowej torby. W bloczku leżącym obok telefonu zanotowała wydanie książki.

- Rozchorowała się, co? - Kobieta bynajmniej nie spieszyła się z wyjściem.

Nie było sensu zaprzeczać, tym bardziej że karetka wciąż stała przed sklepem.

- Przewróciła się.

- Fatalnie. - Klientka pokręciła głową. - Nie jest już

młoda. Jeśli coś sobie złamała, pewno kolejny sklep na Prior s Lane zostanie zamknięty.

- Dlaczego?

- A kto to przejmie? Te małe sklepiki nie mogą konkurować z supermarketem. Oczywiście tam można znacznie taniej kupić bestsellery. - Poklepała reklamówkę, w której leżał jej romans. - Jednak tej książki nie znajdę w dziale, gdzie sprzedają trzy książki w cenie dwóch.

- Chyba ma pani rację.

- Panno Howard, musimy już jechać. Za jakieś dwie godziny może pani zadzwonić do szpitala miejskiego. Udziela pani informacji o stanie pacjentki.

- Ale... - Nie dokończyła. Jej własne wątpliwości nie miały teraz znaczenia. - Maggie, czy chce pani, żebym kogoś zawiadomiła?

- Zajmiesz się oknem? - Maggie najwyraźniej nie mogła przestać o tym myśleć. - Ciągłe je wybijają... - Mówienie sprawiało jej widoczne trudności, Juliet więc uznała, że nie będzie już dalej pytać. Ze znalezieniem szklarza nie powinno być kłopotu, a numer telefonu do rodziny Maggie na pewno znajdzie w biurze.

- Dopilnuję okna, a potem zamknę sklep i wpadnę do pani.

- Biedactwo - westchnęła klientka, patrząc, jak wnoszą Maggie do karetki. - Ma tylko jednego syna, a on jest gdzieś na Bliskim Wschodzie. No, muszę iść. Powodzenia.

-Ale... - Juliet uświadomiła sobie, że przez ostatnie pół godziny było to najczęściej używane przez nią słowo. A przecież zwykle, gdy napotykała jakieś trudności, mówiła „nie ma problemu”.

Zła na siebie, że zachowuje się tak żałośnie, umieściła na drzwiach tabliczkę z napisem „zamknięte” i zamknęła zasuwę. Teraz pozostawało znaleźć szklarza i kogoś, kto zajmie się sklepem, a potem pojechać do szpitala, aby zapewnić Maggie, że wszystko jest w porządku.

Tylko tyle. Bułka z masłem dla kogoś takiego jak ona. Opadła na stołek za ladą. Okno... Szklarz...

Wzięła się w garść i postarała się skupić na czekającym ją zadaniu. No tak, sklep żelazny.

Najpierw należało poszukać kluczy. Znalazła je w szufladzie biurka na zapleczu, ale idąc do drzwi, zmieniła nagle zdanie. Może lepiej będzie zadzwonić, na wypadek gdyby włamywacz, widząc, że zabierają Maggie, postanowił skorzystać z okazji.

Już sięgała po książkę telefoniczną, gdy nagle przyszło jej do głowy, że w takim razie powinna także zabezpieczyć kasę. Nie ma wyjścia, pomyślała. Wzięła pióro, po czym, pokpiwając w duchu z samej siebie, wyjęła z koszyka zeszyt i zabrała się do sporządzania listy.

- I co zamierzasz zrobić z tym składem?

Greg wyglądał przez brudne okno biura, zastanawiając się, co stało się z ludźmi, którzy kiedyś tu pracowali.

- To nie tylko skład. Umowa dotyczy także sklepu w starej części miasta.

- No to wspaniale. Niskie czynsze, wysokie koszty utrzymania - zakpił Neil. Widząc, że Greg zamierza odebrać telefon, który właśnie zaczął dzwonić, dodał: - Zostaw. Warsztat Dukea już nie działa...

- Warsztat Dukea - powiedział Greg do słuchawki.

- A w ogóle - ciągnął Neil zrezygnowanym tonem człowieka, który wie, że gada sam do siebie - jest pora lunchu.

- Och, dzięki Bogu! Dostałam pana numer w sklepie żelaznym na Priors Lane, ale mieli poważne wątpliwości, czy jeszcze...

Greg, całkiem pochłonięty słuchaniem głosu, który tak miło brzmiał w telefonie, nie zwracał już uwagi na Neila. Niektóre dni nie są wcale takie złe, pomyślał, siadając na brzegu biurka.

- Czy jeszcze? - ponaglił swoją rozmówczynię.

- Pracujecie. - Gdy nie potwierdził ani nie zaprzeczył, mówiła dalej: - Najwidoczniej nie mieli racji. Na szczęście.

- Nadal się nie odzywał, więc dokończyła: - To nagły wypadek. Czy może mi pan pomóc?

- Niech pani próbuje - zaproponował.

W słuchawce zapadła cisza.

- No tak - podjęła po chwili. - Trzeba wymienić szybę w małym okienku. To bardzo pilne. Czy jest szansa, żeby przysłał pan tu kogoś jeszcze dzisiaj?

Niektóre dni są wręcz wspaniałe, uznał.

- O której?

- Im prędzej, tym lepiej. Jestem na Priors Lane. W księgarni.

- Wiem, gdzie to jest. Jak się pani nazywa?

- Howard.

- Naprawdę? Nie brzmi pani jak jakiś Howard. Raczej jak Emma albo Sophie lub...

- Juliet Howard.

- Lub Juliet. - W jego głosie pojawiła się nuta niedowierzania. - Jaki jest pani numer, Juliet?

- Po co panu potrzebny mój numer?

- Niektórym wydaje się, że są szalenie dowcipni, gdy dzwonią z lipnymi wezwaniem. Dlatego oddzwaniem do klientów, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Widać zdecydowała, że nie ma wyboru, bo po krótkim wahaniu podyktowała numer telefonu.

- Będę za dziesięć minut - powiedziała.

- Naprawdę? - Najwyraźniej ogarnęły ją sprzeczne uczucia. Nie była pewna, czy ma się do tego odnieść z niedowierzaniem, czy z ulgą.

Neil pokręcił głową i wskazując na zegarek, bezgłośnie powtórzył: „lunch”.

Greg uśmiechnął się i równie bezszelestnie odpowiedział: „szwajcarska czekolada”. Po czym rzucił do słuchawki:

- Odpowiada to pani?

- Oczywiście, będę czekać - odparła.

- Głos ma słodki jak czekolada - mruknął niechętnie Neil, gdy Greg odłożył słuchawkę. - A do tego siwe włosy, dzianinowy bliźniak i perełki na szyi.

Greg wzruszył ramionami.

- W takim razie spełnię dobry uczynek. Jeżeli jednak nie masz racji...

- To co wtedy?

W jej głosie pojawiały się ostre nuty, ale w chwili, gdy wyraziła swoje powątpiewanie, wyczuł, jaka musi być krucho i delikatna. Zupełnie jak dobra czekolada, zanim zacznie rozpływać się w ustach.

Nie mógł się temu oprzeć.

- Znasz mnie, Neil. Wierzę, że skoro szczęście mi sprzyja, należy to wykorzystać.

- Szczęście. Najpierw zwalasz nam na głowę nieziemsko drogi śmietnik, a zaraz potem beztrósko rezygnujesz z lunchu, licząc na to, że buzia jakiejś panienki będzie równie ładna jak jej głos.

- Niedowiarek... - mruknął. - A poza tym to mój śmietnik, nie twój.

Odpowiedź Neila była krótka i niecenzuralna.

- No, dobra... Powiem ci tylko, że mój bardzo drogi plac będzie włączony do planów nowej zabudowy.

- Ty... - Neil zawahał się. - Duke o tym nie wiedział, prawda?

- Możesz być pewien, że ja go o tym nie poinformowałem. A teraz, ponieważ straciłeś szansę na zjedzenie lunchu na mój koszt, możesz wykorzystać wolny czas i zorientować się, co stało się z ludźmi, którzy tu pracowali. Jeśli są nadal bez pracy, zastanów się, jak moglibyśmy im pomóc.

- A niech go diabli! - Juliet ze złością wyłączyła komórkę i cisnęła ją na biurko. „Niech pani próbuje...” Co to za ton? Akurat teraz potrzebny jej spec od wszystkiego, któremu wydaje się, że każda kobieta tylko o nim marzy.

Z drugiej strony, nie powinna stroić fochów. Warsztat Dukea był ostatnim zakładem na jej liście, a ten majster-klepka jedynym fachowcem, który zgodził się przyjąć zlecenie. Na razie jednak nie mogła uznać tej sprawy za zakończoną. Mimo złożenia obietnicy ciągle jeszcze nie zadzwonił.

Poczuła, że zaczyna trząść się z zimna. Weszła do małej kuchenki, która mieściła się obok biura, napełniła czajnik

i rozejrzała się za słoikiem z kawą. Właśnie sypała kawę do kubka, gdy usłyszała, że ktoś znowu dobija się do drzwi, najwyraźniej ignorując informację, że księgarnia jest nieczynna. Chociaż sklep był słabo ogrzany, niezbyt dobrze oświetlony i nie nęcił zapachem kawy, jakoś nie mógł narzekać na brak klientów.

Trudno było zgadnąć, czy dobijający się klient tak bardzo marzy o kupieniu książki, czy może tylko zżera go ciekawość, dlaczego przyjechało pogotowie. Juliet nie zamierzała się o to dopytywać.

I nagle, gdy już wlewała do kubka wrzątek, uświadomiła sobie, że mógł to być szklarz. Czyżby pojawił się całą minutę przed umówionym czasem?

Na wszelki wypadek poszła jednak sprawdzić.

Zanim dotarła do wejścia, ktokolwiek dobijał się do drzwi, zdążył już odejść. Zabierała się właśnie do otwierania zamka, żeby wyjrzeć na zewnątrz, gdy pukanie rozległo się z tyłu sklepu. Drzwi na zapleczu nie były przeszklone, dlatego zawołała:

-Kto tam?

- Firma Błędny Rycerz. Specjalność zakładu: dziewice w potrzebie.

A niech to! Nie dość że miał wysokie mniemanie o swoim uroku, to w dodatku próbował być dowcipny. Dzięki Bogu, że powstrzymał się chociaż od powiedzenia „Romeo”, co zważywszy na jej imię, byłoby oczywiste. Kiedy otworzyła drzwi, stanęła naprzeciwko wysokiego mężczyzny o wzroście ponad metr osiemdziesiąt pięć, ubranego w wytartą skózaną kurtkę lotniczą i dżinsy, które opinały jego ciało jak druga skóra.

Gęste ciemne włosy były trochę za długie, uśmiech zbyt poufały, oczy zaś miały nieprawdopodobny odcień błękitu. Jednym słowem, niesamowicie męski typ. Pewny siebie i arogancki. Z tyłu dostrzegła motocykl, który idealnie pasował do tego wizerunku.

Gregor McLeod nie zmienił się ani trochę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Juliet przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć głosu. Mam nadzieję, że mnie nie pamięta, modliła się w duchu.

- Dobrze trafiłem? - spytał w końcu, przerywając przedłużającą się ciszę. Jak to się stało, że nie rozpoznała jego głosu? Miękki, odrobinę chropawy i nieprzyzwoicie seksowny. .. - To księgarnia, prawda? Dzwoniła pani w sprawie wybitego okna? - Podniósł wzrok na okienko.

Wszystko w porządku, odetchnęła z ulgą. Nie było żadnego sygnału, że ją rozpoznaje.

Z tego, co wiedziała, nigdy nie poznał jej imienia. Zawsze nazywał ją księżniczką, przez co była bezlitośnie wyśmiewana. Oczywiście nigdy w jego obecności.

Była wówczas chudą trzynastolatką, ubraną w rzeczy ze sklepów z używaną odzieżą. Nosiła okulary w metalowej oprawie - na długo przed tym, nim za sprawą Harryego Pottera stały się modne - i długi staromodny warkocz. Jak cię snuła się po szkole, ukradkiem obserwując swojego bohatera.

Tyle że on w gruncie rzeczy wcale nie był bohaterem.

Prawdziwy bohater nie zniknąłby bez słowa z jej życia.

- Tak. - Wzięła się w końcu w garść, próbując zlekceważyć uczucie rozczarowania, że w pamięci mężczyzny, któ-

ry kiedyś zrobił na niej takie oszałamiające wrażenie, nie zostawiła najmniejszego śladu. Zaczęła żałować, że nie zadbowała trochę o swój wygląd. Mogła przecież zrobić choćby lekki makijaż. Uczesać się staranniej... - Tak, to księgarnia. Ale nie czekałam na błędnego rycerza - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała głos. - Potrzebny mi szklarz albo ktośkolwiek, kto potrafi wstawić szybę. - Wyszła na ścieżkę na tyłach sklepu i wskazała wybite okno. Pochyliła się i podniosła kawałek szkła, byle tylko nie patrzeć na Gregora.

- Zostaw. - Nachylił się nad nią i wyjął jej z ręki ostry odłamek. - Łatwo się skaleczyć - dodał, gdy podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- No tak... Dziękuję. - Nie, wcale się nie zmienił. Był z pewnością bardziej masywny, ale nie tęgi, raczej muskularny. Zmarszczki w kącikach oczu dodawały charakteru jego młodzieńczej twarzy. Lecz to był wciąż ten sam Gregor McLeod. Miała przedziwne wrażenie, że oglądając swoją listę celów i pragnień, przywołała go z przeszłości.

- Zależy mi, żeby zostało to zrobione dzisiaj - powiedziała, podnosząc się i otrzepując palce z pyłu.

- Jeśli próbuje pani zasugerować, że nie pojawiłem się po obiecanych dziesięciu minutach - odparł, ignorując jej oschły ton - to sama jest pani sobie winna. Gdyby pofatygowała się pani do wejścia, kiedy zacząłem pukać, byłbym całe trzydzieści sekund wcześniej.

- Ach, więc to był pan? - Nie poprosiła go do środka, prawdę mówiąc, nawet nie zdawała sobie sprawy, że odsunęła się, żeby go przepuścić, lecz on już wszedł do biura, które nagle stało się dziwnie ciasne. Jego bliskość sprawiła,

że zjeżyły jej się włosy na karku, a ciało pokryło gęsią skórka... - Myślałam...

- Myślała pani, że mówiąc dziesięć minut, wykazałem się nadmiernym optymizmem?

- Właśnie. - Zreflektowała się. To chyba nie była najmądrzejsza odpowiedź, dodała więc szybko: - To znaczy nie! Myślałam, że to klient.

- I zlekceważyła go pani? Nie chcę pani uczyć, jak dbać o interesy, ale w ten sposób nie sprzeda pani wielu książek.

- Ma pan całkowitą rację - odparła, siłąc się na uprzejmość. - Tyle że ja nie sprzedaję książek.

- No tak, to wyjaśnia sprawę. - Najwyraźniej postanowił się rozgościć, bo uśmiechając się szeroko, przysiadł na brzegu biurka.

A niech to...

Niektórzy faceci nawet nie musieli się wysilać. Wystarczyło, że spojrzeli na kobietę i...

No cóż. Niepotrzebnie tracił czas.

- Spodziewałam się, że sprawdzi pan, czy jakaś nastolatka nie zrobiła głupiego kawału - powiedziała w końcu.

- Żadna nastolatka nie ma takiego głosu jak ty, księżniczko.

Zacisnęła zęby, starając się powstrzymać niezrozumiałe szczypanie oczu. Widać każdą poznaną kobietę nazywał księżniczką.

- Może pan się tym zająć? - spytała. Zabrzmiało to trochę za ostro, więc dokończyła: - Chciałabym wiedzieć, czy może pan to zrobić dzisiaj.

- Po to tu przyszedłem.

- No tak... Świetnie. Ile to potrwa?

- Zobaczmy... Wymierzę okno, pójde przyciąć szybę, a później, gdy będę ją wstawiał, pani zrobi herbatę - z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru - i opowie mi historię swojego życia.

- Jak długo? - spokojnie powtórzyła pytanie.

Sprawił wrażenie, jakby go to rozbawiło.

- Godzina powinna wystarczyć. Oczywiście to zależy, jak interesujące miała pani życie.

0 rety! Cała godzina zalotnych pogaduszek.

- A ile kosztuje godzina pana pracy?

- Może mi pani postawić lunch i będziemy kwita.

I ten facet śmiał krytykować jej sposób prowadzenia interesów?

- Przyniosę stek od rzeźnika na rogu, w porządku? Mam nadzieję, że zje go pan na surowo?

Wyjął z kieszeni taśmę i zabrał się do mierzenia okna. Nawet nie musiał w tym celu wchodzić na krzesło.

- Wie pani - mówił, wciąż odwrócony do Juliet plecami - byłem umówiony na lunch. Właśnie wychodziłem, gdy pani zadzwoniła. Mogłem powiedzieć, że nie mam czasu.

- Więc czemu pan tego nie powiedział? - spytała. - Wszyscy inni tak właśnie zrobili.

- Z pani głosu wynikało, że potrzebuje pani pomocy.

Nie zwiodło jej jego udawane współczucie.

- Bo tak jest. Jednak potrzebny mi szklarz, a nie towarzyskie pogawędki, więc może pan zaoszczędzić sporo czasu, rezygnując z herbaty i rozmowy o moim życiu. Niech pan zadzwoni do swojej dziewczyny. - Stłumiła ukłucie zazdrości. - Jestem pewna, że zgodzi się poczekać pół godziny. W porządku?

- Pani by tak zrobiła? - Spojrzał na nią przez ramię. - To znaczy poczekała?

- Ja nie umówiłabym się z panem, więc taka sytuacja w ogóle nie miałyby miejsca - odparła, lekceważąc przyspieszony puls.

- Proszę to pytanie potraktować hipotetycznie.

Sama była sobie winna. Złamała generalną zasadę - nie zadawać się z żadnym mężczyzną, z którym się pracuje.

- Hipotetycznie? - powtórzyła.

Jej głos był lodowaty. Była uprzejma jak... księżniczka. A więc jednak potrafiła się opanować.

- No właśnie.

- A więc hipotetycznie. Gdybym zgodziła się zjeść z panem lunch, a pan zadzwoniłby z wyjaśnieniem, że ratuje dziewczę w potrzebie... - przerwała gwałtownie, czując, że dała się wciągnąć w pułapkę.

Na szczęście błędny rycerz zajęty był właśnie zapisywaniem wymiarów okna w notesie, który wyciągnął z kieszeni wełnianej koszuli. Jego zeszyt wyglądał dokładnie tak samo jak kołonoatnik, który leżał w koszyku na zakupy. Czarna lakierowana okładka straciła połysk od wielokrotnego używania. Pewno jest ciągle ciepły od jego ciała, pomyślała. Pełen jego myśli...

- Byłabym zobowiązana, gdyby możliwie szybko skończył pan tę naprawę - dokończyła sztywno. - Zakładam, że ma pan jakieś życie prywatne.

- A pani?

Przez chwilę przyglądał się jej z namysłem. Doszła do wniosku, że znów niepotrzebnie się odezwała. Takie uwagi zachęcały go tylko do ciągnięcia towarzyskiej pogawędki.

- Widzi pani, lubię swoim klientom okazywać zainteresowanie - powiedział, gdy milczała. - Chcę ich dobrze poznać. Znaleźć nić porozumienia.

- Bardzo to chwalebne. - No, teraz wyszło lepiej. Taka chłodna rezerwa była całkiem na miejscu. - Obiecuję, że jeżeli kiedykolwiek będę potrzebować kogoś do wstawienia szyby, natychmiast pomyślę o warsztacie Dukea.

- Sarkazm nie przystoi kobiecie, Juliet.

Sarkazm? Wcale nie zamierzała być sarkastyczna.

- Zanotuję to sobie - odparła - i powieszę kartkę w takim miejscu, żebyśmy mogła ją codziennie odczytywać.

No, teraz przynajmniej zabrzmiało to ironicznie, pogratulowała sobie w duchu. W ciszy, która zapadła, gdy jej słowa zdawały się odbijać echem od ścian biura, dotarło do niej, że miał rację.

Szyderstwo w ustach kobiety faktycznie nie wydawało się pociągające. Jego jednak najwyraźniej wcale to nie odstraszało.

- Co się dzieje z Maggie Crawford? - zapytał. - Przejęła pani jej sklep?

- Nie.

- Pracuje pani u niej?

- Też nie.

- Szkoda. Przydałoby się tu trochę piękna.

Z tym mogła się zgodzić, choć nie zamierzała się do tego przyznać.

- Maggie dziś rano spadła z krzesła. Próbowwała kawałkiem tektury zasłonić tę dziurę w oknie. Zabrano ją do szpitala.

- Bardzo mi przykro. - Prawie uwierzyła, że naprawdę tak myśli. - A co pani ma z tym wspólnego?

- Przyszłam tu odebrać książkę dla mamy i znalazłam Maggie na podłodze.

- I została pani, żeby dopilnować naprawy okna? - Odwrócił się zdziwiony. - Robi to pani dla kogoś, kogo pani w ogóle nie zna?

- Bardzo się tym przejmowała. A poza tym znam ją, w każdym razie zna ją moja matka. Kiedy chodziłam do szkoły, bywałam tu dość często. Maggie pozwalała mi siedzieć na zapleczu i czytać książki, na które nie było nas stać.

- Rozumiem. Przepraszam. Pewno musi pani wracać do pracy.

- Nie, wszystko w porządku. Jestem w trakcie zmieniania pracy.

- Z tego, co rozumiem, w księgarni akurat zwolniło się miejsce. Przynajmniej na jakiś czas.

- Cóż, kiedy pani Crawford poczuje się lepiej, spytam, co chce z tym zrobić. A na razie muszę zadbać o to, żeby nie dostał się tu jakiś rabuś zainteresowany ciekawą edycją „Poradnika dla początkujących włamywaczy”.

Nie uśmiechnął się, jak oczekiwała, lecz spojrzął z namysłem na wybite okno.

- Mam wątpliwości, czy zrobił to ktoś, kto pragnął doszkolić się w forsowaniu zamków. Podejrzewam, że próbowali się włamać do apteki obok.

- Jakiś zdesperowany ćpun, który chciał dać sobie w żyłkę? - Maggie mówiła, że wybijanie szyby ciągle się powtarza... - Świetnie! Od razu poczułam się bezpieczniej.

- Może pani powiesić kartkę - poradził. - Coś w stylu „Tu jest księgarnia. Proszę włamywać się do sąsiadów...”.

- Aptekarz z pewnością będzie bardzo wdzięczny.

- Na pewno ma tam lepsze zabezpieczenia - odparł, kierując się do wyjścia. - Pojadę teraz po szybę. Może pani zorganizowałaby jakieś ciasteczka do herbaty, skoro na lunch nie mam już szans? Od śniadania minęło sporo czasu.

- To księgarnia, a nie sklep spożywczy... - Okazało się jednak, że mówi do siebie.

Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz, wzięła kubek z zimną już kawą i zasiadła za biurkiem. Przekartkowała notes Maggie, bez powodzenia próbując znaleźć adres jej syna. Zajrzała do notatnika leżącego na blacie, ale tam również nie było żadnej informacji. Trudno, będzie musiała z tym poczekać aż do wizyty w szpitalu.

Spojrzała na zegarek i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej błędny rycerz dość dawno stąd wyszedł. Wspaniale! Pewno dostał ciekawszą ofertę. Albo uznał, że jednak woli zjeść lunch z dziewczyną. Nie powinna mu się dziwić, skoro była taka... sarkastyczna.

Westchnęła. Zupełnie niepotrzebnie pozwoliła, żeby jego uwagi tak ją rozdrażniły. Nie był winny temu, że w dzieciństwie uznała go za swojego idola. No, może był, ale wyłącznie dlatego, że podniósł ją, gdy została popchnięta, postawił na nogi i pozbierał jej rzeczy. Wystarczyło, że raz jej pomógł, a szkolni chuligani trzymali się od niej z daleka przez kilka dobrych miesięcy. Zaczęli ją dręczyć ponownie, kiedy zniknęła ze szkoły...

Wyjrzała przez okno. Jeśli wkrótce nie wróci, będzie musiała stanąć na tym rozchwianym krześle i spróbować zatkać dziurę tekturą.

Tymczasem zadzwoniła do szpitala, podając się za krewną

Maggie, lecz nie dowiedziała się nic więcej ponad to, że pani Crawford została przyjęta na oddział i czuje się lepiej.

Zrobiła sobie świeżą kawę, a ponieważ poczuła głód - chyba po raz pierwszy od wielu tygodni - odłamała kawałek bagietki i rozsmarowała na niej odrobinę sera.

Zdażyła wbić zęby w bułkę, gdy rozległo się donośne pukanie do drzwi na zapleczu. Pomna tego, że może mieć do czynienia z narkomanem na głodzie, nie otworzyła od razu.

- Kto tam? - wybąkała niewyraźnie, jako że usta miała wypełnione jedzeniem.

- Juliet?

- Pszepłaszam - mruknęła, wskazując na bułkę, którą trzymała w ręce. - Lunch...

- Dzięki - powiedział, wyjmując jej bagietkę z ręki. - Umieram z głodu. A już myślałem, że wrócił włamywacz i cię zakneblował.

W końcu udało jej się przełknąć kęs bułki.

- Czemu to tak długo trwało? - spytała już normalnym głosem.

Milczał przez chwilę, kończąc jej kanapkę, oblizał ubrudzony serem kciuk i odpowiedział spokojnie:

- Do tego okna łatwo się dostać, więc sprawdziłem w warsztacie, czy nie mamy jakiegoś lepszego zabezpieczenia. Przytrzymaj drzwi, żebym mógł wnieść rzeczy.

Rzeczy?

- Jakie rzeczy?

Nie odezwał się, tylko podszedł do odrapanej furgonetki, która na boku miała wymalowany napis „Warsztat Dukea”. Otworzył tylne drzwi i podał Juliet pudełko, które - jeśli sądzić po etykietce - zawierało alarm antywłamaniowy

- Chwileczkę, panie... Rycerzu. - O, to jej się udało. - Czy może panie Błądny? - zapytała z niewinną miną.

- Nazywam się McLeod, skoro o to pytasz - powiedział. - Gregor McLeod - uzupełnił, gdy niezwykle długo milczała.

- Naprawdę? - odpaliła. - Widocznie poprzednio musiałam źle usłyszeć. - No więc, panie McLeod - podjęła po chwili. - Nie czuję się upoważniona, żeby w imieniu pani Crawford podejmować decyzje o takich wydatkach.

- Greg lub Mac - poprawił. - Wyłącznie ludzie, których nie lubię, zwracają się do mnie per „pan”. A kto mówi o jakichś wydatkach? Postawisz mi kolację i będziemy kwita.

Trzeba przyznać, że cennik ma dokładnie obmyślony, zakpiła w duchu. Jedna szyba miała cenę lunchu, alarm antywłamaniowy był wart kolację. Wołała nie pytać, ile kosztuje krata, którą właśnie wyjmował z furgonetki.

- Chociaż pewno będzie spokojniejsza, gdy dowie się, że jej sklep jest bezpieczny - uznała.

- Kolacja wyjdzie taniej - powiedział, wchodząc za nią do środka.

- Nie jestem zainteresowana, panie McLeod.

- Kobiety zwykle mówią do mnie Greg - wrócił do sprawy imienia. - Albo Gregor.

- Po imieniu mówię tylko do osób, które lubię - odrzekła. - Ale z przyjemnością opuszczę „pan”, jeśli to pana razi. - Chcąc udowodnić, że nie miała na myśli nic osobistego, uśmiechnęła się i dodała: - Teraz zrobię ci herbatę, McLeod.

- Jesteś aniołem - powiedział, sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Zdaje się jednak, że słusznie zrobiłem, przynosząc czekoladowe herbatniki.

Podał jej paczkę jeszcze ciepłą od jego ciała.

- Wspaniale - mruknęła bez entuzjazmu, trzymając ciastka w wyciągniętej ręce, jakby bała się, że gryzą. Była pewna, że gdy tylko otworzy opakowanie, czekolada pobrudzi jej palce, a ona nie będzie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby ich nie oblizać.

Nie! Będzie musiał sam je otworzyć, jeśli ma na nie ochotę.

- Nie mam kosztownych wymagań - zapewnił.

- Zapamiętam to sobie. - Przerazona, że jej serce zupełnie jak dawniej reaguje na spojrzenie jego błękitnych oczu, dodała bezlitośnie: - O ile kiedyś będę chciała umówić się z kimś, kto nie jest zbyt wymagający.

Wyszła do kuchenki i napełniła czajnik wodą. Jej zdaniem dalsza rozmowa nie miała sensu, a w ogóle chciała, żeby Greg zabrał się do pracy. Oczywiście nie spodziewała się wcale łatwego zwycięstwa. Zaskoczona i chyba także odrobinę rozczarowana, że nie odwzajemnił jej się jakąś szokującą uwagą, spojrzała przez ramię.

Zdjął kurtkę i właśnie ściągał koszulę, odsłaniając niesamowicie obcisły T-shirt. Tylko mężczyzna, który chce pokazać, że ma mięśnie jak Tarzan, może ubrać się w coś takiego, pomyślała. Albo facet, który nie umie nastawić właściwej temperatury w pralce. W obu przypadkach byłoby to żałosne.

Kiedy wyciągnął rękę, mięśnie ramion napięły się, a koszulka podjechała do góry, odsłaniając kilka centymetrów ciała.

Zorientowała się, że wpatruje się w niego ze wstrzymanym oddechem. Szybko odwróciła wzrok, włączyła czajnik,

po czym przeszła do sklepu i zajęła się porządkowaniem książek na stole z nowościami. Potem przejrzała pocztę, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś pilnego. Miała nadzieję, że te zajęcia pozwolą jej odzyskać równowagę po tym zaskakującym przypływie niedorzecznej żądy.

Nigdy nie postępowała bezmyślnie, lecz musiała przyznać, że fizyczna atrakcyjność mężczyzny ubranego w opięte dżinsy i podkoszulek stanowiła ożywczą odmianę po biurowych uniformach.

- Zrób coś z tym czajnikiem! - Wołanie McLeoda przeważało jej rozmyślenia.

Z drugiej zaś strony, w uporządkowanym świecie biznesu nikt nie oczekiwałby, że będą parzyć herbatę, pomyślała.

- Tu przydałby się czajnik, który sam się wyłącza - rzucił Gregor, gdy wróciła do kuchenki. Nie zwracając na niego uwagi, wrzuciła do kubka torebkę herbaty i wlała wrzątek.

Ten czajnik powinien sam się wyłączyć. Widać jednak jego dobre dni również się skończyły. Jak tego sklepu. I całej ulicy.

- Pewno Maggie miała inne sprawy na głowie - odparła. Dodała do herbaty mleko oraz cukier i postawiła kubek na biurku.

- Kto zaopiekuje się tym wszystkim - włożył szybę do ramy i uszczelniał ją teraz kitem - podczas jej pobytu w szpitalu?

- Co? Nie mam pojęcia. - Z trudem oderwała oczy od jego zwinnych palców. - Może jej syn wróci i coś załatwi.

- Jimmy? Wątpię. Nie mógł się doczekać, żeby się stąd wyrwać.

- Znasz go?
- Chodziliśmy razem do szkoły. A ty?
- Czy chodziłam do tej samej szkoły, co ty i Jimmy Crawford? - spytała, udając, że nie rozumiała pytania.
- Chyba żartujesz! - Roześmiał się. - Twój głos pasuje do kapeluszy panama, żakietów i zaszczytów, które wiążą się ze szkołą St. Mary. Lub inną podobną szkołą dla dziewcząt.

Pewno wiele wie na ten temat, pomyślała. Zakładając, że plotki, które krążyły po jego zniknięciu, były prawdziwe.

- Pytałem, czy znasz Jimmiego Crawforda - wyjaśnił.
- Ach, o to chodzi. Możliwe, że kiedyś widziałam go w księgarni, ale nigdy z nim nie rozmawiałam. Od wyjazdu na studia nie mieszkalam tutaj.
- A gdzie? W Londynie? - Jej milczenie uznał za odpowiedź twierdzącą. - A teraz wróciłaś do domu. Co to było? Rozpad małżeństwa?

Był nieugięty. Jeszcze pięć minut i rzeczywiście pozna historię jej życia.

Uratowało ją gwałtowne stukanie do drzwi sklepu.

- Chyba otworzę. Skoro i tak muszę tu tkwić, przynajmniej zrobię coś pożytecznego. Przepraszam.

Nie czekała, co na to powie. Nie miała pojęcia o handlu książkami, ale uznała, że będzie to mniej kłopotliwe niż rozmowa z Gregorem McLeodem.

Greg odprowadził ją wzrokiem. Bez wątplenia była kobietą z klasą. Nie tylko głos o tym świadczył. W pierwszej chwili doznał rozczarowania, gdy zobaczył jej twarz bez

ślądu makijażu i potargane włosy, które przypominały ptasie gniazdo. Ale potem schyliła się po kawałek szkła i gdy podniosła wzrok, miał wrażenie, że zna ją od dawna.

W jej srebrnoszarych oczach, w kosmyku włosów, który wysunął się spod spinki, było coś znajomego. Niewiele brakowało, by spytał, czy się już nie spotkali.

Na szczęście zdołał się powstrzymać. Swoją brak zainteresowania okazywała mu w tak oczywisty sposób, że nie musiał wysilać wyobraźni, aby domyślić się, co mu na to odpowie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Co ty wyprawiasz?

Juliet przerwała zmagania z ciężkim stołem i odwróciła głowę. McLeod stał oparty o półkę z książkami. Znów miał na sobie koszulę i sprawiał wrażenie, jakby obserwował Juliet już od jakiegoś czasu.

- Przesuwam stół - odpowiedziała takim tonem, jakim zwykle przemawia się do małego dziecka.

- Może powinienem spytać inaczej. Czemu mocujesz się z tym stołem...

- Bo stoi mi na drodze - warknęła. Już trzy razy musiała się obok niego przeciskać, żeby sięgnąć po książkę dla klienta, i za każdym razem boleśnie uderzała się w goleń.

- Jaki sens wystawiać książki na pokaz, jeżeli i tak nie można do nich sięgnąć?

- ...skoro wystarczyło mnie zawołać? - dokończył. Podszedł bliżej i chwycił blat z dwóch stron. - Gdzie, Juliet?

Stał naprzeciwko niej. Taki silny... I agresywny... Nerwowo przełknęła ślinę i zrobiła krok do tyłu.

- Nigdzie.

- Naprawdę?

Odniosła wrażenie, że odpowiedź, jakiej oczekiwał i jaką zapewne najczęściej słyszał, brzmiała: „gdziekolwiek”.

Myliła się, sądząc, że z tym typem mężczyzn łatwo sobie poradzi. Gregor McLeod nie był jakimś tam „typem”. Był zupełnie wyjątkowy.

Dawno temu uważała, że był wyjątkowo uprzejmy...

- Naprawdę - odparła. Zlekceważyła fakt, że jak na chłodny marcowy dzień i słabo ogrzany sklep było jej o wiele za ciepło. Zresztą i tak za żadne skarby świata nic jej nie nakłoni do zdjęcia swetra.

Teraz już wiedziała, że Gregor McLeod był również wyjątkowo zmysłowy...

- W takim razie najpierw zdejmę z niego te książki. Jeśli uda się odkręcić nogi, powinien się zmieścić do furgonetki.

Wyjątkowo irytujący...

- Furgonetki?

- Przecież chcesz się go pozbyć? Na terenie warsztatów mamy kontener na takie odpady.

- Nie możesz tego zrobić.

- To żaden problem. - Nie roześmiał się, właściwie nawet się nie uśmiechnął, tylko kąciki jego ust nieznacznie drgnęły. - Dodam to do rachunku.

Czuła, jak kropla potu spływa jej po plecach.

Wyjątkowo seksowny...

- Nie! - O Boże... - Chodzi mi o to... - Nie miała pojęcia, o co jej chodziło. - Nieważne. Skończyłeś już?

- Czekam na odbiór pracy, Juliet.

- Świetnie. To znaczy, że ja też mogę już wyjść.

Podeszła do drzwi frontowych, przekręciła zamek i zamknęła zasuwę na dole. Podskoczyła zdenerwowana, gdy zobaczyła, że McLeod stoi tuż za nią.

- Jest jeszcze jeden - powiedział, wyciągając rękę ponad

jej głową do górnej zasuw. Przed oczami miała jego szeroką klatkę piersiową, a jej nozdrza owionęła mieszanina zapachów - skóry, delikatnego płynu po goleniu, oleju lnianego z kitu...

- Jesteś pewna co do stołu? - spytał, odsuwając się, żeby mogła przejść.

- Słucham? A, tak. Chyba trochę mnie poniosło. - Wsunęła za ucho kosmyk włosów. - To jedna z cech mojej pracy.

- Pracujesz przy przewodzkach?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, McLeod. Zajmuję się, a przynajmniej tak było do niedawna, zarządzaniem firmą. - Chociaż trudno było wytłumaczyć, jak osoba tak dobra w zarządzaniu mogła tak żałośnie pokierować własnym życiem. I pomyśleć, że Paul, w przeciwieństwie do Gregora McLeoda, nigdy nie znalazł się na jej liście życzeń...

- Naprawdę? A to się wi[^]że z przenoszeniem mebli?

- Raczej z rozwiązywaniem problemów.

- Ten stół to też poważny problem. Powiedz, księżniczko, czy gdy ci wyznam, że mam problem, ogarnie cię nieodparta potrzeba, żeby go rozwiązać?

- Obawiam się, że musiałbyś stanąć w kolejce. Na razie sama mam wszystkie możliwe problemy i póki nie znajdę pracy i mieszkania... - urwała. Powiedziała i tak za dużo. - Z pewnością nie jest mi potrzebny kłopot w postaci księgarni, która jak wszystko wokół chyli się ku upadkowi. Swoją drogą, co się dzieje z tymi ludźmi? Wystarczyłoby trochę wyobraźni - i warstwa świeżej farby - a cała okolica stałaby się prawdziwą atrakcją.

- Twojej wyobraźni chyba przydałby się trening. Ta oko-

lica powinna być zrównana z ziemią, żebyśmy mogli zacząć wszystko od nowa.

- Chyba żartujesz? Priors Lane ma charakter. Tu się czuje historię. Katedra i zamek zawsze przyciągały zwiedzających, którzy później przychodzili tutaj, żeby wydać pieniądze.

- Przestali przychodzić, gdy wybudowano nowe centrum handlowe.

- Centrum handlowe jest kalką kilkunastu podobnych, jakie można znaleźć w całym kraju. Priors Lane jest inne. Potrzebuje kilku przyzwoitych restauracyjek, odrobiny liftingu oraz odpowiedniej reklamy, żeby zachęcić kupców do powrotu. Jak Portobello Road w Londynie. Albo The Lanes w Brighton.

- Czy handel antykami nie jest przypadkiem zbyt prze-reklamowany?

- Kto mówi o antykach? Kiedyś były tu urocze małe sklepiki. Kilka jeszcze istnieje, chociaż trzeba umieć je znaleźć. Jest dobra piekarnia, wspaniałe włoskie delikatesy, a także świetny sklep żelazny, który wygląda jak przeniesiony z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Prawdziwy rarytas. Można tam kupić śrubki na sztuki i gwoździe na wagę. - Domyśliła się, że McLeod w ogóle nie rozumie, o czym ona mówi. - Na Priors Lane powinny być sklepy, jakich nie spotyka się gdzie indziej... No, ale to wszystko to nie moja sprawa.

- Właśnie zauważyłem, że tej „nie swojej sprawie” poświęciłaś chwilę uwagi.

- Na to nawet nie potrzeba chwili. Wystarczy jeden rzut oka. - Przygotowanie takiego projektu warte byłoby zachodu. Mogłaby się tym zająć, gdyby nie miała innych

problemów na głowie. - Zresztą na więcej nie mam czasu. Na przestawianie mebli również. Może Maggie woli, żeby wszystko zostało po staremu.

- Albo po prostu nie ma nikogo, kto pomógłby jej to poprzemścić.

- Możliwe, ale to naprawdę nie moja sprawa. Ile jestem ci winna?

Wzruszył ramionami.

- Jak słusznie zauważyłaś, to nie twoja sprawa.
- To ja cię wezwałam, więc ja zapłacę rachunek.
- Może po prostu wyślę go do właściciela posesji?

Zmarszczyła brwi.

- Czy on zechce ponosić koszty wstawiania szyby?
- Jeśli będzie robił trudności, zadzwonię i postawisz mi obiecaną kolację.

Postanowiła zignorować uczucie nadziei, które nagle ją ogarnęło.

- Niczego nie obiecywałam, McLeod. A co z zapłatą za kratę i alarm?

Zmrużył oczy w łobuzerskim uśmiechu.

- No cóż, to zupełnie inna sprawa. Możemy to przedyskutować.

- Czy pan Duke nie będzie miał nic przeciwko dorabianiu na boku?

- Duke się o tym nie dowie.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zadzwonię i bezpośrednio z nim załatwię sprawę rachunku.

Przyjął to z uśmiechem.

- Chcesz mnie wpędzić w kłopoty? I to po tym, gdy zrezygnowałem ze spotkania w czasie lunchu?

- Nie, skądże... - Czuła, że traci grunt pod nogami. - Na pewno wolisz, żebym za alarm zapłaciła gotówką - powiedziała, starając się odzyskać równowagę i próbując sobie przypomnieć, gdzie położyła torebkę.

- Już mówiłem, że nie chcę twoich pieniędzy.

Mimo że z trudem wytrzymała jego spojrzenie, nie była w stanie odwrócić wzroku.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, McLeod - wykrztusiła. - Maggie z pewnością będzie ci niezwykle wdzięczna.

Jego usta znów rozciągnęły się w uśmiechu.

- Przed wyjściem pokażę ci, jak działa alarm.

Przed wyjściem? To znaczy, że to wszystko?

Ruszył w stronę biura.

- Może sprawdzisz także okno?

A więc rzeczywiście to już koniec.

Wypiła łyk zimnej kawy, żeby zwilżyć usta.

- Wydaje się, że jest w porządku. Dziękuję. Świetna robota.

- To znaczy, że polecisz mnie swoim przyjaciołom?

Przyjaciołom? Nie miała przyjaciół. Zbyt ciężko pracowała, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. Miała kolegów z pracy, znajomych, z którymi spotykała się w interesach, no i fałszywego byłego chłopaka. Jednym słowem nikogo, o kim warto byłoby wspominać.

- Oczywiście.

- Trochę za długo zastanawiałaś się nad odpowiedzią, Juliet, ale i tak dziękuję. - Pokazał jej przełącznik, który zamontował na ścianie. - Jest bardzo prosty. Kiedy będziesz wychodzić, trzeba go przesunąć w dół, w pozycji do

góry - wyłącza się. Moment oczekiwania trwa dziesięć sekund, potem może obudzić umarłego.

- I to wszystko? Nie ma żadnego kodu, który powinnam zapamiętać?

- Nie. To nie jest jakiś nadzwyczajny alarm, tylko zwykły przewód podłączony do okna i drzwi - tłumaczył - ale wystarczająco głośny, żeby odstraszyć włamywacza. No, dobrze. Na pewno nie chcesz, żebym przestawił stół?

- Na pewno.

- No to będę się zbierał. - Z kieszeni koszuli wyciągnął wizytówkę. - Tu jest numer mojej komórki, gdyby okazało się, że są jeszcze jakieś drobne prace do wykonania.

Już jechał? Tak po prostu? Spodziewała się, że przynajmniej powtórzy propozycję wspólnej kolacji. Twierdził przecież, że jest mu to winna. Jednak Gregor wsiałd do wysłużonej furgonetki, machnął niedbałe ręką na pożegnanie i już go nie było.

No i dobrze. Chciała przecież, żeby sobie poszedł. Teraz i ona może wreszcie wyjść.

Na drzwiach frontowych przyczepiła informację dla klientów, że księgarnia będzie czasowo nieczynna. Uregulowała należność za książkę, którą kupiła, przeliczyła pieniądze w kasie, zostawiła kartkę z zapisaną kwotą, natomiast pieniądze włożyła do reklamówki, którą ukryła pod zakupami na dnie koszyka. Zabrała kwiaty, włączyła alarm i tylnymi drzwiami opuściła sklep.

Juliet położyła narcyzy na szafce i z troską pochyliła się nad łóżkiem.

- Maggie?

- Witaj, kochanie. - W wysokim szpitalnym łóżku starsza kobieta wyglądała bardzo krucho. - Jakie ładne kwiaty.

- To od mamy. Powiedziała, że będzie za panią grać w bingo, a potem podzielicie się wygraną.

Maggie roześmiała się.

- Jest bardzo kochana. Tak samo jak ty. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś mnie nie znalazła.

- Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo - odparła. - Jak się pani czuje?

- Bardzo głupio. Powtarzam im, że nic mi nie jest. Mam tylko kilka siniaków. Zakreśliło mi się w głowie i tyle.

- Nie będę pani długo męczyć. Jestem pewna, że teraz przede wszystkim powinna pani odpoczywać. Pomyślałam jednak, że martwi się pani o sklep.

- Skądże, kochanie. Wierzyłam, że zajmiesz się wszystkim, tak jak obiecałaś.

Ależ ufna kobieta...

- Okno zostało naprawione i wszystko jest porządnie zamknięte. - Nie ma sensu zawracać jej głowy założonym przez McLeoda alarmem, uznała.

- Dobra z ciebie dziewczyna.

- To nie był żaden problem. Mężczyzna, który się tym zajął, powiedział, że wyśle rachunek do właściciela budynku.

- Do właściciela? - Maggie próbowała się roześmiać, ale najwyraźniej zabrakło jej sił. - Miałby dużo szczęścia, gdyby coś z nim załatwił. Ten człowiek nie robi nawet tego, co powinien.

Juliet podała jej wodę i poprawiła poduszki.

- Proszę się teraz tym nie martwić. - Postanowiła, że wy-

bierze się do warsztatu Dukea, odszuka McLeoda i spróbuje sama wszystko załatwić. - Natomiast muszę się od pani dowiedzieć, co zrobić z pieniędzmi z kasy. Zabezpieczyłam je, ale chyba powinny być wpłacone do banku. Nie wiem też, co zrobić z kluczem do sklepu.

- Pieniądze? Tam były jakieś drobne.

- Kiedy czekałam na wstawienie szyby, zjawiło się całkiem sporo klientów. Poza tym ja też kupiłam książkę, więc trochę się zebrało...

Maggie przymknęła oczy i nagle Juliet zorientowała się, że mówi sama do siebie. Wzięła narcyzy i wyszła na korytarz poszukać jakiegoś naczynia, do którego mogłaby je wstawić.

- Czy to pani dzwoniła? Jest pani krewną pani Crawford?

- zaczepiła ją pielęgniarka.

Boże drogi! Zupełnie zapomniała o tym niewinnym kłamstwie.

- Tak i nie - odrzekła. - Nazywam się Juliet Howard i właściwie nie jestem spokrewniona z Maggie. Wiedziałam, że nie zechcą mi państwo udzielić informacji, jeśli nie powiem, że jestem rodziną.

- Więc kim pani właściwie jest?

- Nikim. To znaczy... - zawahała się. - Moja matka jest jej koleżanką. Dziś rano znalazłam panią Crawford i wezwałam pogotowie. - Wzruszyła lekko ramionami. - Przepraszam.

Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

- Czyli jest pani jej sąsiadką?

- Także nie. Po prostu klientką jej księgarni. A o co chodzi?

- Pani Crawford przydałoby się kilka osobistych rzeczy. Koszulka nocna, szczoteczka do zębów... - Patrzyła na Juliet z nadzieją.

- Nikt inny jej nie odwiedził? Nie prosiła, żeby kogoś zawiadomić?

- Powiedziała, że jej syn jest za granicą i odmówiła podania telefonu. Tłumaczyła, że i tak nie będzie mógł nic zrobić, więc nie ma sensu go niepokoić.

McLeod sugerował, że syn Maggie nie życzyłby sobie, aby zwracać mu głowę.

- Pani pewno nie wie, jak się z nim skontaktować? - pytała pielęgniarka.

- Niestety, nie. Zresztą pani Crawford ma trochę racji. Niewiele mógłby pomóc w sprawie szczoteczki do zębów. - Zastanowiła się przez chwilę i dodała: - Przecież ja mam jej klucze. Mogę spytać, czy chce, żebym jej przyniosła potrzebne rzeczy. - Miała nadzieję, że istnieje jakaś sąsiadka, która zajmie się wszystkim. - Jak długo ma pozostać w szpitalu?

- Trudno powiedzieć. Trzeba jeszcze zrobić badania, ale być może był to niewielki wylew.

- W takim razie ktoś jednak będzie musiał skontaktować się z jej synem i zawiadomić go, co się dzieje.

Mówiąc to, Juliet spostrzegła, że mimo niepokoju o stan zdrowia pacjentki, w tym momencie całą uwagę pielęgniarki pochłaniało coś za jej plecami. Odwróciła głowę, żeby sprawdzić, co to takiego.

Nie coś. Raczej ktoś.

- McLeod...

Miał na sobie ładne sportowe spodnie, miękką koszulę

i zamszową marynarkę. Niósł bukiet, przy którym jej narcyzy wyglądały dość niepozornie, ale w tej chwili bardziej skupiła się na fakcie, że na szczęście umyła głowę i nałożyła na twarz odrobinę makijażu.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, księżniczko.

- Proszę, żebyś mnie tak nie nazywał.

Wzruszył ramionami.

- Jak miewa się Maggie?

- Nawet dość dobrze. - Dostrzegła pełną nadziei minę pielęgniarki i pospieszyła z wyjaśnieniem: - Przykro mi, ale to nie jest syn pani Crawford, tylko taki... majster-klepka. - Pownownie odwróciła się do McLeoda. - Pokażę ci, gdzie leży. - Obróciła się na pięcie i poprowadziła go do małej wnęki, gdzie stało około sześciu łóżek.

- Zasnęła - powiedział McLeod, podchodząc do łóżka.

- Nie musisz tu czekać, jeśli masz coś ważnego - odparła, stawiając wazon na szafce. - Z przyjemnością jej powiem o twojej wizycie.

- Nigdzie mi się nie spieszy. - Uśmiechnął się do młodej pielęgniarki i podał jej bukiet. - Znajdzie pani jakiś wazon, kochanie? - Dziewczyna zarumieniła się i bez protestu wzięła kwiaty.

- Dziwię się, że nie poprosiłeś jeszcze o herbatę z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru - rzuciła Juliet kpiąco.

- Zapamiętałaś. - Spoglądał na nią z namysłem spod przymrużonych powiek, aż poczuła, że policzki zaczynają ją palić. Po chwili z zadowoloną miną odwrócił się do Maggie, która tymczasem otworzyła oczy.

- Witaj, Maggie. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Słyszałem, że przydarzyło ci się nieszczęście.

- Gregor... - Starsza pani uśmiechnęła się. - Jak miło cię widzieć. Odwiedzasz tu kogoś?

- Tylko ciebie. Dowiedziałem się o twoim wypadku i przyszedłem sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz. Może chcesz, żebym skontaktował się z Jimmym?

- Nie, nie trzeba mu zawracać głowy. Jest zbyt zajęty, żeby co chwila wpadać do domu.

- Ktoś musi zająć się sklepem - zwrócił jej uwagę. - Juliet świetnie sobie poradziła...

- Maggie, będzie pani potrzebowała paru drobiazów - wtrąciła Juliet. Ostatnia rzecz, jaką powinna w tej chwili zajmować się Maggie Crawford, był los księgarni. - Z przyjemnością wszystko przywiozę. A może chce pani, żebym zawiadomiła jakąś przyjaciółkę lub sąsiadkę?

- Z tym byłby kłopot. Nie mam wielu sąsiadów. Kiedyś ludzie mieszkali nad sklepami, ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz są tam przeważnie biura.

- Biura? - Juliet spojrzała na McLeoda, licząc, że od niego uzyska jakieś wyjaśnienie.

- Maggie mieszka nad sklepem. Myślałem, że wiesz.

Spojrzała na niego z uwagą. A więc dlatego zamontował alarm?

- Nie - odparła. - Szkoda, że nic nie wspomniałeś. Mogłabym od razu zabrać ze sobą kilka rzeczy. - Natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. - Nieważne. Mogę teraz po nie pojechać. Maggie, czy jest coś, na czym szczególnie pani zależy?

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie ma potrzeby, żebyś się tym zajmowała. Powiedziałam im, że nie zostanę tutaj. Jeśli przyniosą mi ubranie...

- Nie może pani na razie wracać do domu - powstrzymała ją łagodnie Juliet. - Musi pani zostać, dopóki nie skończą badań.

- To niemożliwe. Gregor ma rację, muszę natychmiast zająć się sklepem.

Juliet rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Co za bezmyślny facet. Po co tak denerwować biedną kobietę? Kto wie, czy w ogóle będzie mogła wrócić do pracy.

Spojrzał na nią z uśmiechem, którym wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że pożałuje swojej uwagi o majstrze-klepce.

- Mówiłem ci już, że Juliet świetnie sobie dziś poradziła - powiedział niedbale. - Nawet zaczęła przestawiać meble...

- Najwyższa pora. Już od dawna chciałam kogoś wezwać, żeby przesunąć ten stół. Bez przerwy uderzam się w nogę, gdy przechodzę obok.

- No to bardzo dobrze trafiłaś. Juliet znakomicie zna się na zarządzaniu...

- Ale nie na handlu książkami...

- I akurat szczęśliwie się składa, że właśnie szuka pracy - ciągnął, jakby w ogóle się nie odezwała. - Poproś ją, żeby zajęła się sklepem do czasu, gdy wyzdrowiejesz.

- Och, nie mogę tak się naprzykrzać - odparła Maggie, oszczędzając Juliet zażenowania.

- Wcale nie będziesz się naprzykrzać, prawda, Juliet? - nalegał McLeod.

- Bardzo chciałabym pomóc, ale... - zaczęła Juliet.

- No i jest przecież to mieszkanie na poddaszu. Ciągłe stoi puste, prawda? A Juliet szuka mieszkania.

- Naprawdę? No tak, myślę, że mieszkanie z mamą obu

wam trochę doskwiera. Obawiam się jednak, że to mieszkanie na poddaszu trzeba doprowadzić do porządku. Dawno tam nie zaglądałam, bo chodzenie po schodach ostatnio bardzo mnie męczy.

- McLeod! - warknęła Juliet ostrzegawczo. - Niech pani nie zwraca na niego uwagi. Tylko tego jeszcze pani potrzeba, żeby ktoś, kogo pani ledwo zna, wprowadził się do pani domu i zaczął się rządzić w sklepie.

- Och, Juliet, przecież znam cię od dziecka. A twojej matce zawierzyłabym własne życie. Ale nie chodzi wyłącznie o sklep. Muszę wracać do domu ze względu na Archiego.

- Archiego? - zdumiała się Juliet.

- Archiego? - zawtórował jej McLeod.

Kim lub czym mógł być Archie?

- Biedaczek nie może zostać sam - ciągnęła Maggie. Walczyła z ogarniającą ją sennością i była całkiem nieświadoma przerażonych spojrzeń, jakie wymienili jej goście. - Zawsze tak bardzo tęskni, gdy go zostawiam. No i musi przecież jeść. - Nagle poruszyła się niespokojnie. - Znalazłaś jego karmę, prawda, kochanie?

Uśmiech już całkiem zniknął z twarzy McLeoda, ale nawet to nie mogło poprawić nastroju Juliet.

- Oczywiście, że znalazła - powiedział szybko, zanim zdążyła się odezwać. - Zostawimy cię teraz na trochę, do brzo? Podrzucę Juliet do miasta, żeby mogła przywieźć wszystko, co potrzebne.

- Nie musisz mnie podwozić. - Nie zamierzała nigdzie z nim jechać. - Mam własny, sprawdzony transport. Chce pani coś szczególnego, czy zda się pani na mnie? To żaden kłopot.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy, kochanie. Mówiłam ci, że idę do domu... - Próbowała usiąść, aby pokazać, że spełni swój zamiar, ale bezsilnie opadła na poduszki. - Może faktycznie macie rację. Powinnam chyba zostać do jutra. Ale tylko jeśli obiecasz, że ty zostaniesz z Archiem.

- To zrozumiałe, że zostanie - odezwał się McLeod. - To żaden problem, prawda, Juliet?

- Żaden problem - powtórzyła za nim, niemal bez wahania. - Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę. Na razie pojedę po rzeczy. McLeod dotrzyma pani towarzystwa. - Spojrzała na niego znacząco. - Oczywiście, jeśli nie umówiłeś się na kolację.

Uśmiechnął się łagodnie, zupełnie niezmięszany wrogością, którą ledwie zdołała ukryć.

- No cóż. To zależy od ciebie, Juliet.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Juliet szybko szła korytarzem. Niewiele brakowało, by zaczęła biec, zdradzając, że nie tylko nie nakarmiła Archiego, lecz wręcz nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Greg pozwolił jej uciec, choćby tylko po to, żeby móc popatrzeć, jak zgrabnie wygląda w miękko układających się spodniach.

- Uroczą dziewczyna - powiedziała Maggie, gdy się do niej odwrócił.

- Właśnie o tym myślałem.

- Naprawdę, Gregor? - Zaśmiała się, ale zaraz złapał ją atak kaszlu. - Trzeba było z nią pójść. Młoda kobieta nie powinna wieczorem chodzić sama po mieście.

- Właśnie o tym myślałem - powtórzył, jednak Maggie już spała.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał na parkingu, był wysłużony samochód z podniesioną maską. Obok dostrzegł pochyloną sylwetkę Juliet Howard. Tę śliczną pupę rozpoznałby wszędzie.

- Spodziewałem się, że jesteś właścicielką czegoś bardziej dorzecznego i szykownego - odezwał się.

- Widać nie zawsze masz rację. - Wyprostowała się.

- Ale zawsze mogę się przydać.

- Uwierzę, jeśli go uruchomisz.
- Nie zamierzam nic ci udowadniać, tym bardziej że w tej chwili mój wierny rumak niecierpliwi się, aby jak najszybciej odgaliopować stąd z dziewczwą w potrzebie.
- Chcesz mi pożyczyć swój motocykl?
- Nigdy w życiu! Proponuję, że odwiozę cię do sklepu. Samochodem.

- Przykro mi, McLeod. Mamusia ostrzegała mnie, że- bym nigdy nie wsiadała do auta z obcym mężczyzną.
- Nie jestem obcy.

Dostrzegł, że drgnęła, jakby dotknął jakiegoś wrażliwego miejsca. Nagle wróciło uczucie, że skądś ją zna. Czyżby pracowała kiedyś w jednym z jego biur? Jednak w takim razie ona także musiałaby go rozpoznać. A może tak właśnie było? Tylko dlaczego nic o tym nie wspomniała?

-McLeod...

Podejrzewając, że ten spór nieco się przeciągnie, odsunął te rozważania na bok. Ostatecznie może sprawdzić wszystko później.

- Zanim powiesz coś jeszcze, muszę cię uprzedzić, że na taksówkę będziesz czekać co najmniej dwadzieścia minut. Jeśli nawet przemknęło ci przez głowę, że warto zaryzykować, powinnaś chyba pomyśleć o biednym, przymierającym głodem Archiem.

- Słusznie - oświadczyła, zatraskując maskę. Wyciągnęła z auta torbę i zamknęła drzwiczki. - Przysięgam, że nic innego nie skłoniłoby mnie do skorzystania z twojej propozycji.

- Daję ci słowo - odpalił - że nic innego nie skłoniłoby mnie do jej złożenia.

Teraz wreszcie się uśmiechnęła.

- Chyba sobie na to zasłużyłam.
- Z pewnością, ale myślę, że o twoim niewytłumaczalnie wrogim stosunku do mnie pogadamy innym razem - odparł z naciskiem.

Zatrzymała się niezdecydowanie, gdy podszedł do wielkiego, idealnie utrzymanego starego jaguara w ciemnognatowym kolorze i otworzył drzwiczki.

- To twoje auto? - spytała lekko zduszonym głosem.
- Majster-klepki dostają wysokie napiwki - odparł.
- Nie...

Wydawała się zbита z tropu. Zupełnie jak wtedy, gdy zamykała drzwi sklepu i odwróciwszy się, stwierdziła, że stoi tak blisko niej. Musiał przyznać, że było coś niezwykle pociągającego w tym, gdy taka opanowana kobieta traciła nagle spokój. Światło latarni, w którym jej skóra wydawała się całkiem bezbarwna, jeszcze bardziej podkreśliło rumieńce na policzkach.

- Chodziło mi... - Bezradny gest świadczył o tym, że nie bardzo wiedziała, co chciała powiedzieć. Nie miał kłopotu, żeby się tego domyślić.

- Pewno o to, czy go pożyczyłem. Albo raczej, czy uzyskałem pozwolenie właściciela, "zanim go pożyczyłem.

- Tak... - zaczęła i zaraz się poprawiła. - Nie! Przepraszam. Naprawdę nie wiem, o co mi chodziło.

No, wreszcie do czegoś dochodzimy, pomyślał. To już pełen zestaw. Uśmiech, rumieniec, a teraz jeszcze przeprosiny.

- To naprawdę piękny wóz, McLeod. - Wsiadła do środka z wdziękiem osoby, która wie, jak należy wsiadać do niskich sportowych aut. Najpierw pupa, a dopiero potem nogi. - Prawdziwa klasyka.

- To prawda - odparł, niekoniecznie myśląc o samochodzie. - I zapewniam cię, że mam pełne prawo, żeby go używać.

Podniosła wzrok.

- Jest twój, prawda?

- Do ostatniego zębatego kółka - zapewnił, siadając za kierownicą i włączając silnik.

Nigdy nie zdziwił mu się chrapliwy dźwięk motoru ani widok ludzi, którzy odwracali się, gdy przejeżdżał ulicą. Gdyby chciał, mógłby wybrać każdy samochód, na jaki przyszedłby mu ochota, albo jeździć najszybszymi sportowymi autami, z jakich zwykle korzystali chłopcy, którzy wyszli z biednych domów i pragnęli pokazać wszystkim, co udało im się osiągnąć. Zresztą miał wybór. W Londynie w podziemnym garażu pod apartamentem nad Tamizą i w niedawno kupionym wiejskim domu w pobliżu Melchesteru trzymał pół tuzina samochodów. Jednak jego ulubieńcem było to czterdziestoletnie чудо.

- Sam go odremontowałeś? - spytała uprzejmym tonem, gdy zjeżdżał na obwodnicę, prowadzącą do starej części miasta.

- Chyba nie sądzisz, że prosty majster-klepka potrafiłby doprowadzić go do takiego stanu?

- Nigdy nie mówiłam, że jesteś prosty. Zresztą zdaję sobie sprawę, że hołdujący jakiejś pasji ludzie są zdolni do nadzwyczajnych rzeczy.

- Rekonstrukcja samochodów nie jest moją pasją. - Zatrzymał się na światłach i odwrócił do niej głowę. - Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż paćkanie się w smarach.

Jeśli spodziewał się jakiejś błyskotliwej riposty, rozcza-

rował się. Juliet się nie odezwała. Kiedy uniosła rękę i wsunęła za ucho pasemko jedwabistych włosów, uznał, że ten gest nie wynikał z kokieterii, lecz zdenerwowania.

Z uczuciem zażenowania pomyślał, że tylko z pozoru była taka pewna siebie. Pod złudnym spokojem kryła się kruchość, a jej śmiałość była tylko maską. Znakomicie dopasowaną, ale bardzo cienką. Obudziło to w nim opiekuńcze uczucia i nagle zapragnął wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Zrobię to dla ciebie”.

To szaleństwo. Neil miał rację. Kobiety takie jak Juliet Howard zawsze przysparzały mu kłopotów. Bezpieczniejszy był w towarzystwie prostolinijnych kobiet, które dokładnie rozumiały, co im proponuje: świetną zabawę, przyjemny dla obu stron seks i absolutnie żadnych zobowiązań.

Tylko czy kiedykolwiek pociągało go to, co bezpieczne?

- Słuchaj, nie chciałem cię w to wmanewrować - odezwał się, ruszając spod świąteł.

- Słucham? - Rzuciła mu zdumione spojrzenie.

Ani przez chwilę nie wierzył w jej zdziwienie. Była zbyt bystra, żeby nie zrozumieć, o co chodzi. Chociaż prawdę mówiąc, nie był całkiem szczery. Przynajmniej w sprawie mieszkania. To byłby idealny układ. Gdyby się tu wprowadziła, wykorzystałby każdą chwilę, żeby kontynuować grę, którą podjęli. A jednocześnie bez trudu mógłby uciec, gdyby poczuł, że jego wolność jest zagrożona...

Mimo wszystko postanowił na razie grać dalej.

- Chodzi mi o mieszkanie - powiedział. - Prawdopodobnie konieczny jest remont. Mam wrażenie, że widziałem tam sporo czerni i czerwieni, a Maggie chyba nic nie

zmieniała od czasu wyjazdu Jimmyego. W każdym razie jest tam dużo przestrzeni. Mówiłaś, że szukasz pracy i mieszkania. W ten sposób twoje problemy dałoby się rozwiązać za jednym zamachem.

- Moim jedynym problemem jesteś ty - warknęła.

- I Archie - przypomniał.

Uniosła bezradnie ramiona.

- No tak. I Archie. Tyle że to wyłącznie tymczasowa sprawa. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za Maggie ani za jej sklep. Nie wiadomo przecież, jak długo potrwa, zanim będzie w stanie wstać z łóżka. Pielęgniarka mówiła, że to prawdopodobnie był niewielki wylew. Maggie nie powinna mieszkać sama. A jeśli znów zasłabnie? Może minąć półtora dnia, nim ktoś się zorientuje, że coś się stało.

- Jeśli Jimmy usłyszysz takie argumenty, odda ją do domu starców, zanim dokończysz zdanie.

- Mam wrażenie, że dobrze go znasz.

- Nieźle. Jest podobny do swojego ojca. Jedyne, która go naprawdę interesuje, to on sam. - Dostrzegł, że przygląda mu się z zaciekawieniem. - Maggie była dla mnie bardzo dobra, gdy wpadłem w kłopoty i potrzebowałem kogoś bliskiego. Postaw mi kolację, to wszystko ci opowiem.

- A może ty się wprowadzisz do mieszkania nad sklepem? Byłbyś pod ręką, gdyby czegoś potrzebowała.

- Ja nie szukam mieszkania - zwrócił jej uwagę. - No i mam pracę. Po prostu chciałem ci pomóc. Decyzja należy do ciebie, Juliet. Rozejrzyj się tam, zanim ją podejmiesz.

- Ostrożnie przejechał wąską uliczką w pobliżu katedry i w końcu zatrzymał auto na tyłach sklepu. - Najpierw jed-

nak musimy zaopiekować się Archiem. Jak sądzisz, co to może być? - mówił, gdy tymczasem Juliet otwierała drzwi i wyłączała alarm.

- Mam nadzieję, że twój przyjaciel Jimmy nie gustował w egzotycznych zwierzętach?

- Myślę, że wolałabyś nie poznać odpowiedzi. Hm, nie wiesz przypadkiem, jak długo żyją tarantule? Albo pytony?

- Och, daj spokój... - mruknęła pogardliwie, nie potrafiła jednak ukryć dreszczu obrzydzenia.

- No cóż, to było dawno temu. Archie prawdopodobnie jest po prostu znerwicowaną papużką falistą.

- Pewno tak. Mimo to żałuję, że nie spyaliśmy o to Maggie - powiedziała, schylając się i zaglądając pod biurko.

- My? To ciebie zostawiła na straży. Ja tu jestem tylko z dobroci serca. Wydaje mi się, Juliet, że tam go nie znajdziesz, bo pewno zauważylibyśmy go rano.

- No, nie wiem. Ja się nie rozglądałam. - Wyprostowała się. - Ale chyba masz rację. Nic tu nie ma.

- Trzeba będzie stawić czoła nieznanym obszarom.

- Potrafisz pocieszyć, nie ma co.

Wyciągnął ramię.

- Weź mnie za rękę, jeśli się boisz.

- Trzymaj łapy przy sobie, McLeod - odpowiedziała, otwierając drzwi, które prowadziły do części mieszkalnej. Odskoczyła z krzykiem, gdy z ciemności wyskoczyło coś pokrytego miękkim futrem.

I nagle okazało się, że wcale nie chce odpychać Grega. Nie miała nic przeciwko temu, gdy ją chwycił w ramiona i przyciągnął do siebie.

Dygotała na całym ciele. Być może powinien mieć wy-

rzuty sumienia, że tak się z nią drażnił, ale trzymanie jej w ramionach było takie przyjemne.

Jej pachnące szamponem włosy muskały jego policzek, szeroki golf miał miękkość kaszmiru, a jej ciało nawet przez żakiet wydawało się kusząco zaokrąglone. Z trudem trzymał ręce nieruchomo, odpierając raptowny przypływ pożądania, które pchało go, żeby przyciągnąć ją bliżej, obrócić do siebie i pocałować. Zdradzieckie ciało podszeptywało mu, że Juliet także tego pragnie.

Możliwe, że tak było rzeczywiście, jednak nie zamierzał ryzykować. Kiedy będzie ją całował, chciałby widzieć jej piękną twarz.

- Wszystko w porządku - powiedział, odsuwając się trochę. Nie zabrzmiało to tak pewnie, jak zamierzał, więc odchrząknął i powtórzył: - Wszystko w porządku, Juliet. To tylko kot.

- Widziałam...

Znowu zadrżała. Nie wierzyła, że to może być pajak lub wąż, choć na samą myśl włosy jeżyły jej się na karku. Z ociąganiem wysunęła się z objęć McLeoda. Po męczącym dniu kusiło ją, żeby wtulić się w silne ramiona, nie zważając na to, że należą do niezwykle denerwującego mężczyzny.

Odsunęła się trochę i pochyliła nad kotem. Głaskała jego miękkie futro, przemawiając cichym głosem, aby zrozumiał, że nie przyszła tu we wrogich zamiarach.

- Naprawdę miałam nadzieję, że Archie okaże się papużką - powiedziała. Ze zrezygnowanym uśmiechem wzięła kota na ręce. Wyglądał jak z obrazka w dziecięcej książeczce: duży, rudy, z białymi łatami na szyi i łapkach. O takim

właśnie marzyła, kiedy była małą dziewczynką. - Wtedy mogłabym go zabrać ze sobą.

- A kota nie możesz wziąć?

- Mój przyjazd wystarczająco już zakłócił spokój mamy. Obawiam się, że mogłaby nie znieść jeszcze jednego lokatora. Zakładając oczywiście, że nie dostałaby uczulenia. No chodź, Archie. Poszukamy czegoś do jedzenia.

Kot trącił głową jej brodę, mrużąc donośnie.

Juliet nakarmiła Archiego i nalała wody do jego miseczki, a tymczasem McLeod wyczyścił kuwetę.

- Dziękuję, że się tym zająłeś - powiedziała.

- To zadanie dla majster-klepki.

- Słuchaj... Naprawdę mi przykro, że to powiedziałam.

Po prostu...

- Wiem. Miałaś koszmarny dzień.

- Miewałam gorsze - przyznała. - Prawdę mówiąc, ten byłby znacznie gorszy, gdyby nie twoja pomoc.

- Zanim zrobisz się zbyt miła, muszę od razu uprzedzić, że ja także nie zabiorę Archiego do domu. Jutro wyjeżdżam.

- No cóż... Na wakacje czy do pracy? - Zupełnie, jakby to miało jakieś znaczenie. - Przepraszam, to nie moja sprawa - powiedziała, zanim zdążył odpowiedzieć. - Pójdę spakować rzeczy dla Maggie.

- Prawdę mówiąc, jadę na osiemnaste urodziny córki. Jej ojczym wydaje wielkie przyjęcie.

- O... - Miał osiemnastoletnią córkę? Policzyła w myślach i wyszło jej, że dziecko musiało urodzić się krótko przed zniknięciem McLeoda ze szkoły... - Nie wiedziałam. Bardzo mi przykro. - Zorientowała się, że zabrzmia-

ło to niezręcznie, i szybko dodała: - Nie z powodu twojej córki, tylko ojczyma.

- Nie ma sprawy. Jesteśmy bardzo kulturalni. Pozwolił mi zapłacić za to przyjęcie. - Uśmiechnął się. - Nie zapomnij obejrzeć kanapy, gdy będziesz pakować rzeczy.

- Kanapy? - spytała nieprzytomnie. Ciagle myślała o tym, że Gregor McLeod ma dorosłą córkę.

- Obiecałaś, że zostaniesz tu na noc. Pamiętasz?

Miała tyle pytań. Czy był żonaty? Ile czasu trwało jego małżeństwo? Jak córka ma na imię? Gdyby zachowała się uczciwie i przyznała, że go rozpoznaje, mogłaby się tego wszystkiego dowiedzieć...

- Właściwie... - wykrztusiła, gdy odzyskała panowanie nad sobą - Zdaje mi się, że to ty pozwoliłeś sobie na składanie tych wszystkich obietnic.

A ona na wszystko się zgodziła... Spojrzała na Archiego, który skończył już jeść, a teraz z głośnym mruczeniem ocierał się o jej nogi, czekając, aż znów weźmie go na ręce.

Nie było wątpliwości, że tęsknił za Maggie. Pewno też bał się, że znów przez wiele godzin będzie siedział sam.

- Chyba nie mam wyboru - powiedziała w końcu, przytulając kota. - Ale tylko dzisiaj. Postaram się jutro znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Dzielna dziewczyna! Aby udowodnić, że nie zamierzam zostawić cię bez pomocy, spróbuję uruchomić twój samochód, kiedy wrócimy do szpitala - zapewnił, wyjmując z kieszeni komórkę. - Muszę załatwić jeden telefon. Dasz sobie sama radę z pakowaniem?

- Najpierw lunch, a teraz kolacja? Raczej nie mów jej prawdy, McLeod, bo i tak nie uwierzy - ostrzegła Juliet,

zdecydowanie tłumiąc uczucie rozczarowania. Pomyśleć tylko, że bezwstydnie z nią flirtował, gdy jakaś biedna dziewczyna musiała na niego czekać.

Właściwie czego innego mogła się spodziewać? Przed laty podniósł ją z ziemi, otrzepał z kurzu i nazwał „księżniczką”, a przecież jednocześnie spotykał się z jakąś „królową” z ostatniej klasy z St. Mary.

Była obolała, więc jej uprzejmie pomógł, ale pewno nawet nie zwrócił na nią uwagi. Czy mogła go winić za to, że go uwielbiała i że serce omal jej nie pękło, gdy nagle przepadł jak kamfora?

Teraz też czuła się obolała. Może powinna pozwolić, żeby znów ją podniósł i otrzepał z kurzu...

Nie... Była już dorosła. Musiała sama walczyć o swoje sprawy. I chyba najwyższa pora, żeby wreszcie zaczęła to robić...

Odsunęła myśli o McLeodzie i rozejrzała się wokół siebie. Mimo że mieszkanie znajdowało się w centrum miasta, miało przytulny charakter wiejskiego domku. Wrażenie potęgowały ciemne dębowe belki sufitowe i kominek w salonie, mimo że palenisko zastąpił piecyk gazowy.

Przenocowanie tutaj z pewnością nie będzie żadnym wyrzeczeniem. W gruncie rzeczy opieka nad księgiarnią - no i kotem, oczywiście - nagle wydała się bardzo atrakcyjna. Nie odpowiadało to, co prawda, jej wyobrażeniom o dobrej pracy, jednak uznała, że przyjemnie będzie pomóc Maggie, od której jako mała dziewczynka zaznała tyle ciepła.

Mogłaby, tu przynieść swój laptop i zrewidować dzieło sprzed lat, czyli „plan na życie Juliet Howard”.

Zajrzała do szuflad komody i pakując torbę podróżną, pomyślała, że mogłaby się także zająć reorganizacją sklepu.

- O czym rozmyślasz?

Podskoczyła nerwowo, słysząc głos McLeoda. Stał w drzwiach, przyglądając się, jak sprawdza na półkach w łazience, czy nie zapomniała o czymś niezbędnym.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się właśnie, czego bym chciała, gdybym znalazła się w szpitalu.

- Iść do domu. No, chodź. Jeśli czegoś zapomniałaś, będziesz mogła zawieźć to jutro.

McLeod zostawił ją przed wejściem do szpitala. Oddała mu kluczyki do auta mamy, zabrała torbę i poszła do Maggie. Kiedy wróciła po pół godziny, silnik pracował, a Gregor siedział w samochodzie. Na jej widok przekręcił kluczyk i wysiadł.

- Sprawdź go - powiedział.

Uruchomiła auto za pierwszym razem.

- Dobry Boże! Jesteś genialny.

Skłonił się lekko.

- Mam nadzieję, że to będzie naprawdę dobra kolacja - odparł.

- Będziesz musiał ją zjeść z moją mamą, McLeod. To jej samochód.

- Zrobiłem to dla ciebie, Juliet. Oczekuję, że od ciebie dostanę zapłatę. Ale nie martw się. Zanim dojedziesz do domu, żeby wziąć potrzebne rzeczy, zrobi się późno i będziemy mogli najwyżej zjeść coś w barze. Na co masz ochotę? Wolisz kuchnię chińską czy raczej hinduską? Jest też niezła tajska restauracja...

- Oduść sobie, McLeod. Nie obiecywałam, że postawię ci kolację, a gdybym nawet to zrobiła, wołałabym sama zdecydować, gdzie pójdziemy. I kiedy.

- Chyba oboje wiemy, że jeśli pozostawię to do twojej decyzji, będę czekał do końca świata.

I tak by było, gdyby zachowała trochę rozsądku...

- Oczekiwanie to połowa przyjemności - powiedziała słodkim głosem.

- Połowa? Ktoś cię wpuścił w maliny, księżniczko.

- Tak uważasz? Zdaje się, że mówimy o różnych rzeczach. Mnie chodziło o znakomite jedzenie, wyborne wino, dobre towarzystwo... A co ty miałaś na myśli? - Wreszcie i ona miała powód, żeby się uśmiechnąć. - Jedzenie na wynos?

- Oj! No, dobrze. Zgadzam się poczekać na to znakomite jedzenie, wyborne wino i dobre towarzystwo. Powiedzmy do soboty. Potem będziesz musiała zgodzić się na mój wybór. - Nie dopuścił, by powiedziała, co może zrobić ze swoim wyborem, tylko mówił dalej: - Podwiozę cię do Maggie. Chyba że twoja mama gotowa jest oddać ci samochód na dłuższy czas?

- Nie, potrzebuje go do pracy. Ale nie musisz bawić się w szofera. Wezwę taksówkę.

Tym razem nie próbował z nią dyskutować.

- Bardzo cię proszę... Nie zaczynajmy tej rozmowy od początku. Pojadę za tobą. - Zamknął drzwiczki jej auta i wszedł do jaguara.

Zanim go uruchomił, wyjechała już z parkingu. Nie specjalnie podobała jej się myśl, że będzie musiała sama wrócić w ciemną alejkę na tyłach sklepu, jednak za nic nie

przyznałaby się McLeodowi do strachu. Na szczęście nie będzie musiała udowadniać, że jest twarda i nadzwyczaj samodzielna.

- To nie potrwa długo - powiedziała, gdy podjechał pod wejście do dużego starego domu, który zapewne kiedyś był piękną rezydencją, ale już dawno został podzielony na małe mieszkania.

Przez ułamek sekundy bała się, że zechce odprowadzić ją pod same drzwi. Wystarczy, że mama raz na niego spojrzy, a od razu zgadnie, czemu po raz pierwszy od wielu dni córka zrobiła sobie makijaż i ułożyła włosy.

- Muszę wyjaśnić mamie, co się dzieje, i spakować kilka rzeczy - powiedziała, usiłując zniechęcić go do wysiadania z auta. - Zajmie mi to najwyżej dziesięć minut.

- Nie musisz się spieszyć. Będę tu czekał.

Jak się okazało, nie było powodów do obaw. Mama nie wróciła jeszcze z bingo. Juliet napisała kilka słów wyjaśnienia i zostawiła kluczyki do samochodu.

Kiedy wyszła, McLeod stał oparty o swoje auto i rozmawiał przez komórkę.

- Straciła cierpliwość? - spytała, kiedy schował aparat do kieszeni.

- On - poprawił, biorąc od niej torby i otwierając drzwiczki. - Sprawy zawodowe.

- Nie za późno na pracę?

- Wiesz, jak to bywa, Juliet. Majster-klepka zawsze ma coś do zrobienia. - Rzucił na nią okiem, gdy bez słowa wsiadła do samochodu. - Podjęłaś już decyzję, co chcesz zjeść? Chyba jesteś głodna?

Prawdę mówiąc, umierała z głodu, lecz wcale nie zamie-

rzała mu o tym mówić. U Maggie bez wątpienia znajdzie się puszka fasolki. Podgrzeje ją sobie i zje z grzanką.

- Dziękuję ci za troskę, myślę jednak, że poczekam do soboty.

- Do soboty?

- Taką granicę wyznaczyłeś, prawda? Umówmy się w takim razie o ósmej w „Ferryside”.

- „Ferryside”?

- Boże, czy tu jest echo?

- Możesz pozwolić sobie na kolację w „Ferryside”? - spytał.

Raczej nie, ale jego zdumiona mina warta była każdej ceny.

- Mówiłam ci, McLeod. Nie interesują mnie spotkania z mało wymagającymi ludźmi. Ja mam kosztowne gusta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Greg walczył ze swoimi pragnieniami. Wcale niełatwo było powstrzymać się od pocałowania Juliet Howard. Jednak przez lata nauczył się cierpliwie czekać na to, czego pragnął. A Juliet pragnął od momentu, gdy podniósł słuchawkę i usłyszał jej chłodny, pełen rezerwy głos, który wyzwolił w nim całkiem prymitywne żądze. W młodości pod wpływem podobnego impulsu wpadł w poważne tarapaty.

Czas i nabyte doświadczenia utemperowały jego porywczosć, nauczyły go też, że walenie głową o mur nie daje nic poza bólem. A także tego, że cierpliwość - poparta pieńędzmi, którymi można nasmarować najbardziej odporne zamki - otwiera prawie każde drzwi.

Prawie...

Instynkt ostrzegął go, że Juliet Howard wymaga bardziej subtelnych metod. Zaczął już rozumieć, że powinien poważnie potraktować ostrzegawcze spojrzenia, które wyraźnie mówiły, żeby trzymał „łapy przy sobie”. Może dobrze, że kilka dni spędzi w innym krańcu kraju, gdzie nie będzie miał szansy ulec pokusie.

Juliet otworzyła tylne wejście do sklepu i wstawiła do środka swoją torbę.

- Dasz sobie radę? - spytał.

- Trochę późno na wyrzuty sumienia, nie sądzisz? Sam mnie w to wpakowałeś. A może chciałeś zasugerować, że chętnie wejdiesz na górę, aby sprawdzić, czy pod łóżkiem nie kryje się jakiś złoczyńca?

- O to nie musisz się martwić - odparł z uśmiechem.

- Już wcześniej wszystko sprawdziłem. Tylko włącz alarm, zanim pójdziesz na górę.

- Będę o tym pamiętać. Dobranoc, McLeod.

Zaczęła zamykać drzwi, ale przytrzymał je ramieniem. Patrzyła za zdumieniem, jak sięga po jej rękę i podciąga rękaw swetra. Nie odrywając oczu od jej twarzy, wyciągnął długopis z kieszeni kurtki.

- Zadzwoni do mnie, żeby powiedzieć, gdzie mam po ciebie pojechać w sobotę - powiedział.

- Przecież mam już twój telefon.

Owszem, dał jej swoją wizytówkę. Teraz jednak chodziło o coś więcej. Chciał jej dotknąć, zostawić na jej skórze jakiś ślad. Po tym, jak znieruchomiała na chwilę, poznał, że go przejrzała.

- Byłem pewien, że natychmiast po moim wyjściu wyrzuciłaś go do kosza.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zdziwiła się. Jej srebrzyste oczy błyszczały w świetle rzucanym przez lampę nad apteką. - Dobrzy fachowcy są... skarbem.

Jego spojrzenie przyciągnął mały dołeczek, który pojawił się tuż nad kącikiem jej ust. Wpatrywał się w nią, wysilając pamięć.

Czemu nie mógł sobie nic przypomnieć?

- Ale kolacji w sobotę nie traktuję jak randki - uprzedziła - więc umówimy się od razu w restauracji. Jeśli nie

przyjdiesz, zrozumieć, że jakaś kobieta wezwała cię do nagłej naprawy.

Zamknęła drzwi, zanim zdążył powiedzieć, że jak mało kto zasługuje na to, by wystawić ją do wiatru.

- No to mam kłopot - mruknął, przypominając sobie przestrogi Neila.

Podniósł głowę, czekając, aż światło na pierwszym piętrze poinformuje go, że dotarła tam bez przygód, i poczuł, że usta rozciągają mu się w mimowolnym uśmiechu.

Jednego był pewien. Nie dopuści do tego, aby ostatnie słowo należało do Juliet...

Juliet zjadła kolację, a potem usiadła do komputera i zaczęła przeglądać strony z ofertami pracy. Wszędzie zapewniano, że wystarczy się zarejestrować, a natychmiast znajdą jej wymarzone zajęcie. Akurat... Już wcześniej zarejestrowała się w najlepszych agencjach i jakoś nikt nie ustawiał się w kolejce do jej drzwi.

Prawdę mówiąc, największą satysfakcję przyniosłby jej widok lorda Markhama, który pojawiłby się na jej progu i przyznał, że popełnił błąd, a także poprosiłby ją o powrót do pracy na jej warunkach.

No nie, co za głupota.

Powinna pamiętać, że nie ma ludzi niezastąpionych.

Archie trącił nosem jej kostkę. Kiedy pochyliła się posłusznie, żeby podrapać go za uchem, jej spojrzenie padło na numer, który McLeod zapisał jej na przedramieniu. W tym momencie przyszło jej do głowy, że kobieta, która myślała o swoim bezpieczeństwie, nie powinna chyba zapraszać McLeoda na kolację.

No właśnie. Już raz zaryzykowała i dokąd ją to zaprowadziło?

Straciła głowę dla Paula, bo był przeciwieństwem drażliwych mężczyzn, których stawiające na karierę kobiety unikają jak zarazy. Przy nim potrafiła kontrolować swoje emocje. Nigdy jej nie ponaglał, pozwalał, żeby to ona dyktowała tempo. Za to go lubiła. Przy nim czuła się bezpieczna.

Do tego stopnia, że omawiała z nim swoje pomysły. Zadzwoiła do niego w środku nocy, żeby razem z nim cieszyć się ze skończonej pracy. Po dwudziestu minutach przyjechał z szampanem, twierdząc, że muszą to uczcić.

Czy to właśnie wtedy ukradł jej projekt? Prawdopodobnie korzystając z chwili, gdy poszła po kieliszki, skopiował go do przenośnej pamięci, którą nosił zawsze przy swoich kluczach. Spodziewała się, że zechce u niej zostać na noc... i nie zamierzała się opierać. Tymczasem wykręcił się jakimś rodzinnym spotkaniem.

Właściwie w ogóle jej nie dotykał... Aż do tego judaszowego pocałunku, kiedy rozmazał jej szminkę.

- Wykazałam się skrajną głupotą, Archie - powiedziała na głos. - Ale koniec z tym rozczulaniem się.

Wzięła do towarzystwa Archiego i weszła na górę, żeby rzucić okiem na mieszkanie na poddaszu.

Miało tę samą powierzchnię, co mieszkanie Maggie, ale z powodu skośnego sufitu było tu znacznie mniej miejsca. Ciemne ściany potęgowały jeszcze wrażenie ciasnoty. McLeod nie żartował, mówiąc o czerni i czerwieni. Bardzo gotycki efekt. Choć prawdę mówiąc, wystarczyłoby kilka puszek farby, żeby to zmienić.

Być może McLeod zrobiłby to dla niej. Kosztowałyby to zapewne sporo więcej niż jedna kolacja, nawet w „Ferry-side”. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak będą targować się o cenę.

Zdumiona falą nadziei, jaką wywołała w niej ta myśl, poszła na dół i ułożyła się do snu na kanapie. Archie oczywiście umościł się w nogach. Leżała, rozmyślając o remoncie. Całkiem prosto byłoby przerobić niewygodny przedpokój na miejsce do pracy. Biurko w kształcie litery L znakomicie dałoby się ustawić pod skośnym sufitem, jasnokremowe ściany sprawiłyby, że całość wydawałaby się lżejsza i bardziej przestronna, a pod wykładziną z pewnością jest ładna drewniana podłoga...

To oczywiście było zwykłe fantazjowanie. Nie potrzebowała miejsca do pracy.

Ale zawsze lepsze to niż liczenie baranów.

No i znacznie skuteczniej pomagało odsunąć myśli o przyjemności, jaką miałyby, nawiązując z McLeodem bliższe i bardziej osobiste stosunki. Zwłaszcza że mimo wielkiej pokusy, wcale nie zamierzała do tego dopuścić...

Obudził ją listonosz, który przyniósł wielką paczkę z Ameryki.

- Jak się czuje Maggie? Słyszałem, że się przewróciła. To przykre. - Wyjął długopis i podsunął jej kwit do podpisu. - Podczas jej pobytu w szpitalu pani będzie się wszystkim opiekować?

- Na to wygląda - odparła. Idąc w głąb sklepu, przejrzała pocztę. Odłożyła dwa rachunki, prywatne listy przygotowała do zabrania do szpitala, po czym ruszyła na górę.

Zdażyła dojść do półpiętra, gdy znów rozległo się pukanie, tym razem do drzwi od zaplecza. Gdy spojrzała przez okno, potwierdziły się jej przypuszczenia: w alejce stała furgonetka z warsztatu Dukea.

- Nie możesz przez chwilę trzymać się z daleka? - spytała, otwierając zamki. Zrobiło jej się głupio, gdy odkryła, że na progu stoi obcy mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był w malarski kombinezon, w ręku trzymał skrzynkę z narzędziami, na twarzy miał uśmiech, jakby ufał, że jest oczekiwany gościem.

- Panna Howard?

Kiwnęła głową.

- Dave Potter. Przysłał mnie Mac.

- Czyżby zostawił tu coś wczoraj? - spytała, tłumiąc rozczarowanie.

- Proszę?

- Kiedy naprawiał okno.

Ze zdumionym uśmiechem podniósł wzrok.

- Mac naprawiał pani okno?

Przestraszona, że jego dobry uczynek może wpędzić go w kłopoty, szybko wyjaśniła:

- Przyszedł w porze lunchu. Maggie Crawford jest jego starą znajomą.

- No tak... Nic nie wiem na ten temat. Prosił mnie, żebym zrobił remont w mieszkaniu na poddaszu. Powiedział, że to pilna sprawa. Wziąłem próbnik kolorów, żeby mogła pani wybrać farbę - mówił, podając jej dużą kopertę. - A gdyby wolała pani tapetę, wystarczy wybrać wzór, a ja zajmę się resztą.

Farba? Tapeta?

- Nie ma pośpiechu - ciągnął, gdy się nie odezwała. - I tak muszę najpierw wszystko przygotować. Zechce pani dać mi klucz? - spytał, najwyraźniej biorąc jej tępą minę za milczącą zgodę. - W ten sposób nie będę pani za każdym razem przeszkadzał.

Na to pytanie przyszło jej do głowy kilka odpowiedzi, jednak ten miły człowiek był przecież niewinny i nie zasługiwał na żadną z nich.

Była tylko jedna osoba, z którą chciała teraz mówić. Szczęśliwym trafem na jej skórze wciąż zachował się nikły ślad długopisu, którego nie zdołała zmyć wieczorem, bo z kranu leciała tylko zimna woda.

- Może pan chwilkę poczekać, panie Potter? - spytała, sięgając po telefon.

- McLeod? - warknęła wściekle, ledwo uzyskała połączenie. - Muszę ci powiedzieć, że bez wątplenia jesteś największym...

Przerwała, słysząc, że włączyła się poczta głosowa. Wpatrywała się w aparat, podczas gdy głos w telefonie zapraszał ją do nagrania wiadomości.

- Mac jest w drodze do Szkocji - uprzejmie poinformował ją Dave - więc pewno ma wyłączone komórkę. Ale mówił, żeby się pani nie martwiła o zapłatę dla mnie. Dopisze to do rachunku.

- Co takiego?

- Może coś źle zrozumiałem - wycofał się pospiesznie, gdy odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nie, przepraszam... To nie pana wina. - Uniosła dłoń, żeby odgarnąć włosy, a gdy zobaczyła, że ręka jej się trzęsie, ukryła ją pod ramieniem. - Do Szkocji? - powtórzyła.

- Jakaś rodzinna impreza, zdaje mi się. W kiltach i z kobzami - dodał. - To może wezmę się już do pracy, dobrze?

Kilty i kobzy? Właściwie dlaczego ją to dziwi? Nie miała szkockiego akcentu i z pewnością wychowywał się w Melchesterze, ale sądząc po jego nazwisku, musiał mieć szkockie korzenie...

Ostrożnie odłożyła słuchawkę na widełki i wzięła głęboki oddech.

- Proszę poczekać. Przyniosę klucz.

Chociaż McLeod z pewnością miał inne zdanie na ten temat, uważała, że remont tego mieszkania jest wyłącznie jego sprawą. Skoro później miała je wynająć... Jednakże... Spędziła pół nocy, zastanawiając się nad doborem barw, chyba więc mogła mu w tym odrobinę pomóc.

Wzięła klucz, po czym dopasowała kolory z przyniesionych przez Davea próbek do poszczególnych pokoi.

- Może zdejmie pan również tę obrzydliwą wykładzinę w holu?

- Łatwo poszło - odezwał się Dave, któremu najwidoczniej zaimponowało, że podjęła decyzję bez chwili wahania. - Zwykle trwa to dłużej niż sama praca. A co z resztą mieszkania? Chce pani, żeby w pokojach też zerwać wykładzinę?

- Ja w ogóle nic nie chcę, panie Potter. To nie ma ze mną nic wspólnego - poinformowała go, zapominając o tym, jak w nocy planowała, które meble wyrzuci, a które zatrzyma i gdzie je ustawi.

To wszystko jednak były gruszki na wierzbie.

Mieszkanie wiązało się z różnymi zobowiązaniami, a Juliet nie miała zamiaru się zgodzić, żeby Gregor McLeod nią

manipulował. Pozostawała co prawda bez pracy, ale było to tylko małe opóźnienie w jej życiowych planach. Nie zamierzała prowadzić księgarni. Odejdzie stąd, kiedy tylko znajdzie kogoś, kto będzie mógł się tym zająć.

Nie chciała, żeby Maggie czuła się zobowiązana do podtrzymania swojej oferty w zamian za zwykłą przysługę.

- Niczym nieosłonięta drewniana podłoga byłaby chyba zbyt głośna, nie sądzi pan? - Wiedziała, o czym mówi. Kiedyś sąsiadka w mieszkaniu nad nią miała drewniany parkiet. - Zresztą wykładzina w pokojach nie jest taka zła. Wymaga tylko czyszczenia. - Wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała podkreślić, że decyzja nie należy do niej.

- Tak, panno Howard - przytaknął Dave.

Odniosła wrażenie, że Dave każde jej słowo traktuje jak rozkaz, i ogarnęło ją poczucie winy.

- Niech pan lepiej omówi to z panem McLeodem - powiedziała. - Takie zmiany mogą być dość kosztowne.

Przez moment miał minę, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale w końcu powtórzył tylko:

- Tak, panno Howard.

Następną osobą, która ją tego dnia odwiedziła, była mama. Dzwoniła i stukała do drzwi sklepu, póki Juliet nie zeszła na dół.

- Cześć, mamó. Nie spóźnisz się do pracy? To już drugi raz w tym tygodniu.

- Drugi raz w ciągu dwudziestu lat - poprawiła matka. - Upowiedziałam, że nie przyjdę przed dziesiątą. Chciałam się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. Zamierzasz zająć się sklepem, póki Maggie jest w szpitalu?

- Tylko przez jakiś czas. Maggie bardzo się tym denerwowała. No i jest jeszcze kot. Tyle że ja nie znam się na prowadzeniu księgarni.

Matka wzruszyła ramionami.

- To nie jest wyższa matematyka. A jak się ma Maggie?

- Mówią, że to mógł być wylew. Na razie robią badania. Obawiam się, że będzie musiała zastanowić się, czy może mieszkać tu sama. Chyba powinna też zrezygnować z prowadzenia sklepu.

- Wydaje mi się, że lepiej wiedzieć, że ma się do czego wracać. Dziś wieczorem zajrzę do niej. Wczoraj wygrałyśmy co nieco w bingo, to powinno ją rozweselić. No, dobrze. Jadłaś już śniadanie?

- Nie. Chciałam właśnie wyskoczyć do piekarni.

- Wstaw wodę, a ja pójde kupić parę drożdżówek. - Siegnęła po książkę ze stołu z nowościami, obejrzała okładkę, po czym rozejrzała się wokół. - Z zewnątrz tego nie widać, ale to naprawdę znakomita księgarnia. Maggie zawsze ma kryminały, których nigdzie indziej nie można dostać. Tyle że przydałoby się wprowadzić tu trochę zmian. Obecnie w księgarniach podają kawę i jakieś przekąski, prawda? Chociaż może nie ma sensu zastanawiać się nad tym. Przecież i tak wszystko zostanie wyburzone.

- Jak to wyburzone? O czym ty mówisz?

- O całej okolicy. Wszystko tu się sypie.

- Ależ to historyczna część Melchesteru. Z pewnością jest na liście zabytków. Gdzie o tym słyszałaś?

- Znajoma wspomniała o tym wczoraj podczas bingo. Jej z kolei powiedziała to dziewczyna, która pracuje w urzędzie planowania.

- Och, to pewno tylko plotki. A już się przestraszyłam. Mamo, kup jeszcze jedną bułkę. W mieszkaniu na górze jest malarz. Na pewno chętnie coś zje do herbaty.

- Maluje mieszkanie?

- Maggie zaproponowała mi mieszkanie na poddaszu. Bardzo tam ładnie, a przynajmniej spodziewam się, że tak będzie po remoncie. Zaprosiłabym cię na górę, ale boję się, że po spotkaniu z Archiem będziesz cały dzień kichać.

- Z jakim Archiem?

- Dużym, rudym i bezpłodnym.

- Jaka szkoda. Mężczyźni są trochę podobni do rowerów. Kiedy się przewrócisz, musisz szybko wsiąść z powrotem, bo inaczej tracisz wiarę w swoje możliwości.

Juliet spojrzała na matkę nieco zaskoczona.

- Myślałam, że w tym powiedzeniu chodziło o konie.

- Konie, rowery... co za różnica? Jeździ się i na jednych, i na drugich.

- Nie zauważyłam, żebyś ty miała ochotę na ponowną przejażdżkę. Czyżby mój ojciec tak cię zniechęcił?

- Twój ojciec... - zawahała się matka. - Pójdę już po te drożdżówki.

Juliet nie zamierzała naciskać. Matka i tak powiedziała dwa słowa więcej niż zwykle.

- Przydałby mi się też bochenek chleba. I gdybyś mogła jeszcze wejść do delikatesów po jakąś przyzwoitą kawę i mleko. Poczekaj, dam ci pieniądze.

- Oddasz mi później. To mieszkanie jest związane z pracą, tak?

- Nie ma żadnej pracy. Po prostu pomagam Maggie w awaryjnej sytuacji.

Drzwi do sklepu otworzyły się.

- Otwarte? Słyszałam, że Maggie jest w szpitalu, ale miałam nadzieję, że uda mi się odebrać książkę.

- Proszę wejść - Juliet zaprosiła klientkę, nie zważając na uśmiech, jaki pojawił się na twarzy matki. - Zaraz jej dla pani poszukam.

Później przyszło jeszcze wielu klientów, którzy słyszeli o wypadku i chcieli sprawdzić, czy mogą odebrać swoje zamówienia. Wszystkich musiała zapewniać, że księgarnia będzie czynna - przynajmniej na razie - i w rezultacie do powrotu mamy ze sklepu nie zdążyła nawet wstawić wody.

- Nie przejmuj się. Wypiję kawę w pracy - uspokoiła ją matka, kładąc siatkę na biurku. - Nie potrzebujesz czegoś z domu? Mam wrażenie, że będziesz tu dość uwiązana.

- To prawda. Liczyłam na to, że po południu uda mi się wpaść do Maggie i ustalić pewne rzeczy. Byłabym spokojniejsza, gdyby pozwoliła mi skontaktować się ze swoim synem. No cóż, będę musiała poczekać z tym do wieczora.

- Myślę, że przydałaby ci się jakaś dziewczyna do pomocy. W szkole zaczynają się ferie wielkanocne. Córka mojej koleżanki z pracy chodzi do ostatniej klasy i chyba chętnie zarobi parę funtów. Bardzo miła i godna zaufania dziewczyna. Może powiem jej, żeby przyszła z tobą pogadać?

Zawahała się na chwilę.

- Och, poproszę. I to jak najszybciej.

- Dobrze. A w czasie lunchu przyjdę cię zastąpić. Weźmiesz mój samochód i będziesz mogła pojechać do szpitala. Co ty na to?

- Chyba zbyt rzadko ci mówię, jaką jesteś wspaniałą matką.

Patrząc na mamę, przypomniała sobie, że podobną minę widziała u McLeoda. Pełny samozadowolenia uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „Czy nie zasłużyłem na...”.

Sądząc ze zdumionego spojrzenia matki, chyba za bardzo pograżyła się w rozmyślaniach. Ucieszyła się, że dzwonek komórki wybawił ją od jakichkolwiek wyjaśnień. Pożegnała się z mamą i dopiero wtedy odebrała telefon.

- Juliet Howard.

- Cześć, księżniczko.

McLeod... Do diabła! Powinna wcześniej sprawdzić, kto dzwoni. Miałaby czas, żeby nabrać powietrza...

- Zobaczyłem nieodebrane połączenie i pomyślałem, że to ty dzwoniłaś.

- Musisz dalej zgadywać.

Co za denerwujący facet, pomyślała, kiedy cmoknął z dezaprobatą.

- Jak się masz? - spytał, przerywając jej rozważania. - Dobrze spałaś?

Oddychaj, nakazała sobie. Szukała jakiejś obojętnej, chłodnej odpowiedzi, ale w głowie miała pustkę. Jak ma dać mu do zrozumienia, że ani jednej sekundy nie poświęciła na myślenie o nim?

- Spałam? - powtórzyła, grając na zwłokę.

- No wiesz, kładziesz się, zamykasz oczy... No więc, jak było? Nie zmarzłaś?

- Och nie, wszystko w porządku. Dziękuję. Archie grzał mnie jak wielki termofor.

- Ja potrafię jeszcze lepiej rozgrzać.

Na to nie znalazła odpowiedzi. A przynajmniej nie taką, jaką mogłaby rozważyć.

- Mam nadzieję, że nie dzwonisz podczas jazdy, McLeod. Pamiętaj, że to potwornie niebezpieczne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gregor McLeod nie dał po sobie poznać, że doznał nagłego olśnienia.

Chodzi o bezpieczeństwo...

Mimo okazywanych na każdym kroku pewności siebie i niezależności Juliet Howard miała bzika na punkcie swojego bezpieczeństwa. Nie był tylko pewien, czy była tego świadoma.

- Czy Dave zaczął już remont? - spytał, ignorując jej ostrzeżenia. Jechał z lotniska na tylnym siedzeniu rollsa, a w tym z pewnością nie było nic niebezpiecznego.

- Przyszedł już po ósmej - odparła. - Maggie z pewnością będzie bardzo wdzięczna.

- Nie robię tego dla Maggie - sprostował. - Ale to przecież wiesz. Chyba nie odrzucisz mojej pomocy ze strachu przed powiększeniem długu?

- Jeśli ci to pasuje, maluj sobie do woli, McLeod. Nie jestem ci nic winna.

- Tak mówisz? To czemu zaprosiłaś mnie na kolację?

Słyszał, jak głośno nabiera powietrza.

- Lepiej idź już tańczyć szkockie tańce, McLeod - warknęła ze złością.

- Cholera... - mruknął, gdy w komórce rozległ się sygnał.

- Laska z wytwornym głosem daje ci w kość? - spytał Neil, który do tej pory wydawał się pochłonięty przeglądaniem jakichś papierów.

- Mógłbyś trochę uaktualnić określenia, jakimi nazywasz kobiety. Wątpię, czy nawet w mrocznych czasach twojej młodości ktoś powiedziałby o Juliet „laska”. To wykształcona, elegancka kobieta.

- Widzę, że naprawdę masz kłopoty. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

I co go tak cieszy? - pomyślał Greg. Odłożył komórkę na skórzane obicie fotela i sięgnął po wykonany przez architekta plan zabudowy terenów nad rzeką, który przeglądał, zanim ogarnęło go pragnienie, żeby usłyszeć głos Juliet.

- Postaram się o tym pamiętać, kiedy w sobotę będzie płacić za kolację w „Ferryside” - burknął.

- Stawia ci kolację? Chyba nie zamierzasz pozwolić, żeby naprawdę zapłaciła?

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek. W dzisiejszych czasach na randkach też panuje równouprawnienie.

Uśmiechnął się z nadzieją, po czym spróbował skupić się na oglądaniu rysunków. Jednak widok nowoczesnych budynków, które miały stać wśród wyremontowanej starej zabudowy wokół dawnego doku, gdzie powstanie port jachtowy, nie wystarczył, by odciągnąć jego myśli od Juliet.

Niestety, ojcowie miasta postanowili decyzję o zabudowie starej części miasta ogłosić przed terminem, a to ozna-

czało, że musiał każdą wolną chwilę wykorzystać na pracę. Zmusił się do koncentracji.

- Mark Hilliard wykonał dobrą robotę - odezwał się. - Nie przewiduję większych problemów.

- Nie chwal dnia przed zachodem słońca. Kiedy twój plan będzie powszechnie znany, pojawią się sprzeciwy przeróżnych aktywistów walczących o każdy walący się budynek w kraju.

- Szkoda, że nikt z nich nie próbował się tym zainteresować, kiedy Duke pozwalała, aby Prior s Lane popadała w ruinę.

- Skoro już mowa o Dukeu... Co masz zamiar zrobić z tym koszmarnym śmietniskiem?

- Rada miasta naprawdę nas pokocha, jeśli zaproponujemy im dodatkowe miejsca parkingowe. Hilliard właśnie zastanawia się, jak to włączyć do projektu. Zobaczę się z nim w tej sprawie w piątek.

Juliet weszła do kuchenki na tyłach sklepu. Wciąż była roztrzęsiona. Co jej, na miłość boską, przyszło do głowy, żeby zaprosić McLeoda na kolację do najbardziej romantycznej restauracji w całym hrabstwie?

Po wyjściu wymagającej klientki, która okazała się znakomitym lekarstwem na nerwy, Juliet zajęła się odszukaniem listy tytułów zamówionych przez kluby czytelników. Wyglądało na to, że takich grup jest całkiem sporo.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że nie powstał jeszcze klub czytelników kryminałów.

Gdyby Maggie została moją klientką, myślała Juliet, poradziłabym jej stworzenie takiego klubu i wykorzystanie

faktu, że najlepiej sprzedają się romanse i kryminały. Należałoby to rozreklamować i zmienić wizerunek sklepu, tak aby stał się księgarnią specjalizującą się w powieściach romantycznych i sensacyjnych. Z pewnością przyciągnęłoby to wielu entuzjastów tych gatunków.

Wróciła do rzeczywistości, gdy pojawiła się Saffy, uczennica, o której opowiadała mama. Miała kolczyk w nosie, za mocny makijaż i minispódniczkę, która odsłaniała prawie metr nóg. Innymi słowy, była przeciętną siedemnastolatką.

- Mama mówiła, że potrzebna pani pomoc - powiedziała.

- To prawda. - Zapoznała Saffy z warunkami pracy, po czym - rezygnując na razie z urzędzenia na nowo wystawy, która przyciągnęłaby również przechodniów płci męskiej - zabrała się do wyjaśniania, jak działa sklepowa kasa.

- Jak się pani ma, Maggie?

- Miałabym się całkiem dobrze, gdyby przestali wbijać we mnie igły i pobierać krew do badań. Ta pielęgniarka jest gorsza od wampira. A jak ty dajesz sobie radę? Kto zajmuje się sklepem?

- Mama przysłała mnie zastąpić, żebym mogła tu przyjechać. Wpadnie do pani wieczorem. Przyjęłam do pomocy jedną dziewczynę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Rób, co uważasz za słuszne. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, żeby cię prosić o pomoc, ale cieszę się, że się zgodziłaś.

- Może mieć pani pretensje do Gregora McLeoda. To on

podsunął ten pomysł. Ale wszystko jest w porządku. Zwinęliśmy się na kanapie i było nam bardzo wygodnie.

- Ty i Gregor? - spytała Maggie z filuternym błyskiem w oku.

- Ja i Archie - powiedziała stanowczo. - Przyniosłam pocztę, w każdym razie prywatne listy. Rachunki mogą trochę poczekać.

- Lepiej przynieś je następnym razem. I weź ze sobą książeczkę czekową - poprosiła Maggie. Najwyraźniej już się pogodziła z myślą, że będzie musiała trochę dłużej zostać w szpitalu. - A to nie są prywatne listy, tylko zamówienia na książki.

- Zamówienia? Prowadzi pani sprzedaż wysyłkową? To są powszechne zwyczaje?

- Pewno nie, ale robię to już od lat. Kiedyś w sąsiedztwie mieszkała pewna Amerykanka. Nie mogła zdobyć książek ulubionych autorów, więc poprosiła, żebym je dla niej ściągnęła. A gdy wyjechała, zamawiała książki listownie, i tak się zaczęło. Opowiedziała o moich usługach swoim znajomym i zanim się zorientowałam, zaczęłam dostawać listy i telefony z zamówieniami. Niektórzy ludzie nie ufają Internetowi. - Podała Juliet koperty. - Zajmiesz się tym? - Najwyraźniej mówienie ją zmęczyło, bo opadła na poduszki. - W szafce pod schodami znajdziesz specjalne wysciewane koperty, w których wysyłam książki.

- Maggie, pamięta pani naszą rozmowę o przestawianiu rzeczy w księgarni?

Maggie zmarszczyła czoło.

- To miało coś wspólnego z tym przeklętym stołem, prawda?

- Tak, ale planowałam zrobić jeszcze coś więcej. - Szybko przedstawiła swoje pomysły. - Nie chcę pani ponaglać. Możemy o tym pogadać za dzień czy dwa.

- Nie muszę się zastanawiać. Masz całkowitą rację. Wiele spraw wymknęło mi się z ręki. Chyba jestem już za stara na to wszystko.

- Co pani opowiada! Ale myślę, że przydałaby się pani pomoc. Wynajęcie mieszkania trochę podreperuje pani budżet, więc będzie można sobie pozwolić na zatrudnienie uczennicy.

- A co z tobą? Nie mogę oczekiwać, że będziesz pracować za darmo.

- Traktuję to jako wakacje. Wolę to niż leżenie na plaży.

- Cóż, skoro tak mówisz. Jednak będą ci potrzebne pieniądze, żeby zapłacić tej dziewczynie. Kiedy będziesz wychodzić, poproś pielęgniarkę, żeby przyniosła mi telefon. Zawiadomię mojego księgowego, aby wpadł się z tobą zobaczyć.

- Dobrze. I jeszcze jedno. Gregor McLeod przysłał malarza do mieszkania na poddaszu.

- Kochany chłopiec. W młodości był trochę zbyt porywczy. Ale ma bardzo dobre serce. I miło się na niego patrzy. - Uśmiechnęła się. - Tak czy inaczej, nie masz powodu do zmartwienia. Gregor wpadł tutaj o jakiejś nieludzkiej godzinie, jeszcze przed wylotem do Szkocji. Powiedział mi o malarzu i o tym, że tobie pozostawił wybór kolorów.

- To prawda, tylko...

Ale Maggie już zamknęła oczy. Trudno było zgadnąć, czy była zmęczona, czy może chciała uniknąć rozmowy na

temat mieszkania. A może chodzi o jakiś spisek? Maggie chciała, żeby księgarnia pozostała otwarta.

Natomiast Gregor McLeod...

Nie, nie będzie zgadywać, czego on mógł chcieć.

Lecz w jednej sprawie miał rację. Głównym powodem, dla którego nie rzuciła się radośnie na wolne mieszkanie, był fakt, że za wszelką cenę chciała uniknąć wszelkiej manipulacji. Albo też nadal czepiała się żalostnej nadziei, że wkrótce wróci do Londynu.

Powinna pogodzić się z myślą, że to nie nastąpi. A z pewnością nie w najbliższym czasie. Jej mieszkaniem zajął się agent nieruchomości. Powinna jeszcze wycofać swoje nazwisko z agencji pośrednictwa pracy i całą energię poświęcić na ożywienie księgarni. Właściwie był tylko jeszcze jeden problem...

- Zanim zdecyduję się, czy się wprowadzić - zaczęła stanowczo, ignorując zamknięte oczy Maggie - będziemy musiały omówić sprawę czynszu. Powinnyśmy podpisać umowę, która dla nas obu będzie zabezpieczeniem. - Ponieważ nie dostała żadnej odpowiedzi, zabrała listy i podniosła się. - Ale jeśli nie czuje się pani na siłach, mogę skontaktować się z pani synem i poprosić, żeby się tym zajął.

- Nawet się nie waż! - Maggie natychmiast otworzyła oczy. - Umieściłby mnie w domu starców, zanim zdążę zagwizdać.

- Nie zrobi nic takiego - uspokoiła ją Juliet. - Jest pani zbyt młoda, żeby iść na zieloną trawkę. A kiedy już będzie pani w domu, chciałabym usłyszeć, jak pani gwizdże.

Maggie zachichotała.

- Obawiam się, że nic z tego. Nawet na psa nie umiem

gwizdnąć. Mój mąż tak zawsze mówił. Przez pewien czas mieszkał w Stanach i przyłgnęło do niego jakieś tamtejsze powiedzonko.

- Pewno brakowało go pani...

- Chyba nie aż tak bardzo, ale też nie był najlepszym mężem. Jimmy bardzo przeżył jego odejście. Chłopcu potrzebny jest ojciec.

Dziewczynie również, dodała Juliet w duchu.

Być może McLeod był trochę impulsywny, ale przynajmniej starał się utrzymywać kontakty ze swoją córką. A przecież miał najwyżej osiemnaście lub dziewiętnaście lat, kiedy się urodziła.

Zdaje się, że potraktowałam go trochę za surowo, pomyślała ze skrucą.

Późnym popołudniem, kiedy ze stosem grubych kopert szła Prior s Lane w stronę poczty, zatrzymała się, żeby spojrzeć na krętą wąską uliczkę. Jak by tu było pięknie, myślała, gdyby fronty sklepów pokryć świeżą błyszczącą czarną farbą, napisy wymalować na złoto, a nad drzwiami powiesić kosze z kwiatami.

Przydałoby się tutaj jakieś stowarzyszenie kupców, uznała po namyśle. Grupa aktywistów, która by pobudziła całą okolicę do życia. Niestety, nic się nie zrobi samo. Do tego potrzeba ciężkiej pracy i wysiłku ludzi, którzy nie muszą siedzieć przez całą dobę w sklepie, żeby zarobić na życie. Kogoś, kto orientuje się, jak znaleźć pieniądze i zdobyć subwencję od władz lub fundacji zajmujących się za-
bytkami.

Starła się zignorować cichy głosik, który wtrącał się

w jej rozmyślania, szepcząc: „kogoś takiego jak ty”, jednak zanim jeszcze stanęła w kolejce na pocztę, zaczęła układać listę zadań.

Najpierw trzeba zorganizować zebranie. Przygotować ulotki, żeby przedstawić cel spotkania i zachęcić ludzi do udziału. Potem należałoby jeszcze odwiedzić sklepikarzy, aby zmobilizować tych bardziej apatycznych. Kiedy już będzie wiadomo, kto zgłosi się do pomocy, a kto gotów jest zgodzić się na wszystko, pod warunkiem, że sam nie będzie musiał nic robić, utworzy się komitet...

Jej tok myśli został gwałtownie przerwany, gdy zobaczyła tytuł w gazecie, którą czytał stojący przed nią mężczyzna: „Nowy projekt zagospodarowania miasta został zatwierdzony”.

Dostrzegła zdjęcie opuszczonych magazynów wokół starych doków i szkic terenu, o który chodziło. Mężczyzna złożył gazetę na pół, widziała więc tylko część planu. Nie stety nie tę, która ją interesowała.

Była niemal pewna, że plotka, którą usłyszała mama, została rozdmuchana. To niemożliwe, żeby komuś przyszło do głowy wyburzenie historycznej zabudowy w centrum miasta i zastąpienie jej biurami albo parkingami. A może się myliła?

Nadała przesyłki, pobiegła do kiosku po miejscową popołudniówkę i szybko wróciła do księgarni. Wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że jednak była w błędzie.

Z artykułu wstępnego wynikało, że redakcja jest wstrząśnięta włączeniem Priors Lane do projektu. Chwalono pomysł wykorzystania doków, postawienia kompleksu budyn-

ków biurowych, które zapewnią miastu pieniądze i miejsca pracy, a także zbudowania portu jachtowego, jednak spodziewano się, że plan niszczenia „historycznej przeszłości miasta” wywoła zdecydowany sprzeciw społeczny.

- Macie to jak w banku - mruknęła Juliet.

- Słucham? - Saffy podniosła wzrok znad książki.

- Jakiemuś nowobogackiemu inwestorowi wydaje się, że może skakać nam po głowie, ale grubo się pomylił. - Nagle uświadomiła sobie, że Sany nie ma o niczym pojęcia. Podała dziewczynie gazetę, żeby sama przeczytała artykuł. - To skandal!

- Dlaczego? Chcą tylko wyburzyć stare ohydne domy.

- Nie tylko ohydne domy. Włączyli w to Prior s Lane.

- To co? - Widząc, że nie takiej odpowiedzi po niej oczekiwano, dodała łagodniej: - Chcę powiedzieć, że to wszystko się wali. Kto będzie chodził po zimnie i deszczu, skoro może kupić wszystko w centrum handlowym? I te kocie łby! W wysokich obcasach zupełnie nie da się po nich chodzić.

- Za to są o wiele ładniejsze od płyt chodnikowych i nie niszczą się tak szybko. - Jednak reakcja dziewczyny dała jej do myślenia. Zakładała, że każdy pamięta dawną uliczkę, a przecież nie musiało tak być. - Mam wrażenie, że rozumiem twój punkt widzenia. Faktycznie trudno ludzi wyciągnąć z ciepłego nowoczesnego centrum handlowego. Szkoda... Kiedyś były tu urocze sklepiki.

Saffy nie wydawała się przekonana.

- Skoro były takie urocze, czemu je pozamykano?

- Dobre pytanie.

Koniecznien ten problem trzeba poruszyć na zebraniu.

Świadoma, że należy kuć żelazo póki gorące, ułożyła tekst zaproszenia. Nie było czasu na szukanie innego miejsca, postanowiła więc zorganizować spotkanie w księgarni. Wysłała Saffy do biblioteki, aby skserowała zaproszenia, i natychmiast po jej powrocie wyszła, żeby je roznieść.

Zamykała właśnie sklep, kiedy przyjechała matka.

- Jak było?

- Dobrze - powiedziała, stając na palcach, żeby zamknąć górną zasuwę. - Bołą mnie stopy, plecy... właściwie wszystko. Ale poza tym miałam dobry dzień.

- Czyli nie widziałas gazety.

- Widziałam. Na jutro wieczór zorganizowałam pierwsze zebranie.

- Dobry Boże! Nie tracisz czasu.

- Nie tracę. Wczoraj jeszcze byłam bezrobotna i w dodatku bez szans na zatrudnienie, a w tej chwili pracuję nad dwoma poważnymi projektami: modernizacją księgarni i uratowaniem Prior s Lane.

- To pracę już masz. A klienta?

- Kogoś, kto mi zapłaci? Nie, ale sprawa Prior s Lane stanie się bardzo głośna. Jeśli ją dobrze załatwię, udowodnię, że nie jestem pomyłona, jak to sugerują moi byli pracodawcy.

- Słusznie. Zresztą modernizacja księgarni też pewno wyjdzie ci na dobre. „Nasza Kronika” lubi opisywać takie historie. Informacja o twoich działaniach może się nawet pojawić w niedzielnych gazetach.

Zawsze sądziła, że jej umiejętności były wynikiem żmudnych studiów i doświadczenia. Tymczasem okazuje się, że prawdopodobnie nabyła je, siedząc na kolanach

matki. Kobiety, która straciła szansę na zrobienie kariery. Miała siedemnaście lat, gdy zaszła w ciążę i została zupełnie sama.

Czyjej ojciec był podobny do McLeoda? Młody, przerażony, uciekający w panice przed kłopotami, do których się przyczynił? Tyle że McLeod wcale nie uciekł.

Pod wpływem nagłego impulsu mocno, serdecznie uścisnęła matkę.

- A to za co?

- Za wszystko - mruknęła. - Będziesz wieczorem w domu? Chcę zabrać trochę rzeczy.

- Pojedź ze mną teraz. Po drodze kupimy coś do jedzenia, pomogę ci się spakować, a ty mi opowiesz, co zaplanowałaś.

- Jak było na przyjęciu?

- Wystawnie - odpowiedział Greg, wsiadając do auta. - Ojczym Chloe nie oszczędził kosztów.

- Naprawdę? - Neil zmarszczył brwi. - Zdawało mi się, że to ty za wszystko płacisz.

- Powiedziałem tylko, że nie oszczędził kosztów. To nie znaczy, że żałuję wydanych pieniędzy. Chloe jest wszystkim, co mam, a tak rzadko ją widuję. A co się dzieje na naszym froncie? Czy komunikat się ukazał?

- Owszem.

-I?

Neil podał mu kartkę papieru.

- Dziś rano wydrukowałem to z Internetu.

Greg ze zdumieniem wpatrywał się w zdjęcie Juliet Howard na tle Priors Lane. W wiosennym słońcu uliczka wy-

glądała dość urokliwie i wcale nie wydawała się zniszczona. Zwrócił uwagę, że przed księgarnią stały beczułki z żonkiliami. Ładny akcent.

- Wiesz, kto to jest? - spytał.

- Tak. Twój „kłopot”. Dziewczyna z głosem jak czekolada, który wykorzystała, żeby utworzyć grupę nacisku złożoną z kupców z Prior s Lane. Zrobiła to, zanim wyschła farba na środowym wydaniu gazety. We wstępniaku piszą, że nie pozwolą się stamtąd wykurzyć.

- Nie? - Greg uśmiechnął się szeroko. - Cholera, Neil. Sam powiedz, czy nie wygląda wspaniale? Podoba mi się jej kostium. Pokazuje dokładnie tyle nóg, ile trzeba. Aż się chce zobaczyć więcej...

- Nie rozumiem, co cię tak bawi.

- Wcale nie żartuję. Jestem naprawdę oczarowany. Daj spokój, na tobie też musiała zrobić wrażenie. Ile czasu zajęło jej zorganizowanie tego wszystkiego?

- Sam sobie policz. Informacja o projekcie ukazała się w środę w popołudniowym wydaniu „Kroniki”. To wydrukowano dzisiaj rano. Mamy piątek.

- Mniej niż czterdzieści osiem godzin.

- Dziś rano wystąpiła też w lokalnej radiostacji.

Nie tylko wyglądała niesamowicie. Była niesamowita. Co, do diabła, robiła w Melchesterze? Powinna prowadzić jakąś firmę. Sam zatrudniłby ją od jutra. Nawet od zaraz.

- Co z tym zrobisz, Mac?

- Nic. Na razie niech ktoś sprawdzi, czy wywiad radiowy jest dostępny w sieci. Chcę posłuchać, co miała do powiedzenia.

No i chciał też usłyszeć jej głos.

- Ale... - Neil wzruszył ramionami. - W porządku, Mac. Zaraz się tym zajmę.

- Przy okazji przypomnij wszystkim w biurze, że gdyby ktoś z prasy próbował ich przycisnąć, mają jedynie powtarzać „bez komentarza”. To samo dotyczy wszystkich przygodnych znajomych, którzy zapragną postawić im drinka w pubie. Dopilnowanie, żeby nikt nie wiązał mojego nazwiska z tym projektem, kosztowało mnie wiele trudu, ale teraz znajdują się ludzie, którzy zrobią wszystko, aby dowiedzieć się, kto stoi za Melchester Holdings.

- A co z Martym Dukiem? Dopiero sprzedał ci prawo własności do działki, która znajduje się na terenach objętych projektem. Pewno teraz pluje sobie w brodę.

Greg skrzywił się niechętnie. Jemu też przyszło to do głowy.

- Z moich informacji wynika, że chciał wyjechać z kraju, gdy tylko pieniądze zostaną przelane na jego konto. Pewno wierzyciele deptali mu po piętach. Miejmy nadzieję, że nie udało im się go złapać. Czy są jeszcze jakieś sprawy niecierpiące zwłoki?

- Nic, czego nie mógłbym załatwić sam.

- Dobrze. W takim razie jadę do domu wziąć prysznic i przebrać się przed spotkaniem z Markiem Hilliardem. W czasie weekendu będę na wsi, gdybym był ci do czegoś potrzebny, ale dzwoń tylko w bardzo ważnych sprawach, bo mam randkę z piękną kobietą.

- Nadal chcesz iść na kolację z panną Howard? Teraz, gdy jest... gdy jest... - Neil machnął ręką.

- Przywódcą opozycji? - podsunął uprzejmie. - Znasz jakiś powód, dlaczego miałbym rezygnować z okazji,

żeby usłyszeć, co jeszcze zamierza zrobić, aby popsuć mi szyki?

- To chyba niezbyt etyczne, nie sądzisz? - Neil patrzył na przyjaciela ze zdumieniem.

- Co ja na to poradzę, że bierze mnie za prostego majstra do wszystkiego?

- Zabije cię, kiedy odkryje prawdę. I wiesz, co ci powiem? Jestem po jej stronie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Juliet zatrzymała się w wejściu do eleganckiej, położonej nad rzeką restauracji i wzięła głęboki oddech. Dzisiejszy dzień zaczęła bardzo wcześnie, na długo przed otwarciem sklepu. Ciągłe pytania, telefony i zgłoszenia ludzi, którzy przeczytali o wszystkim w gazecie i oferowali swoją pomoc, napływały w takim tempie, że prawie nie miała czasu na myślenie, co dopiero mówić o złapaniu oddechu.

Kilka razy podnosiła słuchawkę, żeby zadzwonić do McLeoda i odwołać kolację, tłumacząc się nawałem pracy. Jeśli widział gazetę, musiał wiedzieć, jak zwariowane stało się jej życie.

Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi do sklepu, spoglądała po części z nadzieją, po części ze strachem, że zobaczy w nich McLeoda. Mógł przecież wpaść, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Była rozdarta między pragnieniem, by go zobaczyć, a nadzieją, że będzie trzymał się z daleka, póki Dave nie skończy pracy w księgarni. Wtedy już będzie widać, jak wspaniale zmienił się sklep, i nawet jeśli w pierwszej chwili będzie zły, z pewnością przyzna, że postąpiła słusznie.

Kiedy jednak nie zadał sobie trudu, aby zadzwonić i potwierdzić ich spotkanie, była tak wściekła, że szykując się do

wyjścia, postanowiła pójść na całość. No i teraz stała w wejściu do „Ferryside” w pantoflach na niebotycznych obcasach, z rzęsami wydłużonymi dzięki udoskonalonej maskarce i czarnej sukience, która w Londynie świadczyłaby o szczycie elegancji, ale w sobotni wieczór na prowincji wydawała się jakby zbyt wydekoltowana i odrobinę za krótka.

Teraz już miała pewność, że powinna była zadzwonić.

Co ją podkusiło, żeby z setek restauracji, które były w okolicy, wybrać akurat tę?

Bo chciałaś na nim zrobić wrażenie, kretynko! - znów odezwał się ten cholerny wewnętrzny głos, który zdawał się znać wszystkie odpowiedzi. Chciałaś mu udowodnić, że panujesz nad sytuacją. Że jesteś kobietą, która potrafi podjąć decyzję i sprostać każdemu zadaniu...

Nie, to nie o to chodziło! No, może trochę... Jednak przede wszystkim zależało jej, aby przekonać o tym siebie. Odzyskać wiarę we własne siły.

Czy dlatego ubrałaś się tak wystrzałowo? - wewnętrzny głos nie zamierzał się poddać. A może chciałaś zmusić Gregora McLeoda, żeby nie mógł oderwać od ciebie wzroku? Udowodnić sobie, że nie jesteś już tą żalostną dziewczynką, która na przerwach snuła się za nim, licząc na to, że ją wreszcie dostrzeże? Która nie posiadała się ze szczęścia, gdy raz puścił do niej oko...

Zasłoniła uszy dłońmi

- Juliet? Dobrze się czujesz?

Drgnęła nerwowo, gdy zaskoczył ją cichy, chropowaty głos. McLeod wyszedł z cienia i podniósł torebkę, która wypadła jej z ręki. Kiedy podawał ją Juliet, jego palce dotknęły jej dłoni.

- Mc... McLeod... - Jej głos zdradzał podniecenie, jakie ją opanowało. - N... nie zauważyłam cię. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że już tu jesteś. Przyjechałam wcześniej, żeby upewnić się... No, wiesz.

- Chciałaś sprawdzić z szefem sali swoją kartę, żeby przy rachunku nie było żadnych niespodzianek?

- Robiłam to zawsze, gdy szłam na lunch... lub kolację w interesach.

To także jest spotkanie w interesach, przypomniała sobie. Kolacją w „Ferryside” miała spłacić wszystkie swoje długi. Przynajmniej te, które zaciągnęła, zanim zdecydowała się wyremontować sklep...

- A ja przyjechałem wcześniej, ponieważ nie chciałem, żebyś siedziała samotnie w barze.

- Bardzo uprzejmie z twojej strony. - Zaczęła żałować, że wspomniała o interesach.

- Bo ja jestem bardzo miłym facetem, Juliet.

- Zawsze gotowym, żeby wyratować dziewczę w potrzebie. Uprzejmym dla starszych pań... - Opiekuńczym w stosunku do małych dziewczynek, którym dokuczają koledzy. .. - Czy zagubionymi psami także się zajmujesz?

- Jasna sprawa. Ptaki w ogrodzie też dokarmiam - odparł, pomagając jej zdjąć płaszcz. - Czy w dzisiejszych czasach przyjęte jest mówić dziewczynie, że pięknie wygląda? Skoro zakładamy, że to kolacja w interesach...

- Jak najbardziej. Dziękuję, McLeod. Ty również. - Faktycznie wyglądał wspaniale. Ciemne włosy, miękkie i błyszczące, opadały na kołnierz, marynarka idealnie leżała na jego szerokich ramionach, jakby była szyta na miarę, krawat bez wątpienia był jedwabny.

Zaczerwieniła się, gdy dotarło do niej, co powiedziała.

- Miałam na myśli, że wyglądasz bardzo elegancko. W garniturze.

Jego uśmiech niezmiennie przyprawiał ją o przyspieszone bicie serca.

- Nie wpuściliby mnie tutaj, gdybym włożył dzinsy.

- Przepraszam... Mam nadzieję, że nie musiałeś specjalnie kupować garnituru.

- Zaskakujesz mnie, księżniczko. - Położył dłoń na jej plecach i poprowadził ją w stronę baru.

Teraz już z całą pewnością wiedziała, że włożyła niewłaściwą sukienkę. Zastanawiała się nad długością spódniczki i dekoltem, a nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, że ma całkiem odkryte plecy. Nie chodziło wcale o to, że McLeod zachował się niezręcznie. Wręcz przeciwnie. Jego ręka ledwie muskała jej skórę; czuła niewiele więcej niż rozchodzące się po plecach ciepło. Bała się, że jego dotyk zostawi na jej skórze ślady oparzenia...

- Przyjechałaś autem matki? Juliet?

- Co? Przepraszam, bardzo tu ciepło. - Powachlowała się kopertową torebką. - Autem matki?

- Mam na myśli kandydata na złomowisko, którym jeździłaś poprzednio - przypomniał. - Czy wolałaś nie ryzykować?

Nie ryzykować? A niby co teraz robiła?

- Nie. Tak...

Boże, przecież zachowuję się jak idiotka! - zdenerwowała się.

- To znaczy nie - wyjaśniła w końcu. - Nie przyjechałam samochodem mamy. I tak, postanowiłam nie ryzyko-

wać. Bałam się, że trzeba będzie grzebać w jego wnętrznościach, co zrujnuje mój manikiur.

- W takim razie możesz przy drinku opowiedzieć mi o swoich planach obrony świata przed złymi deweloperami.

- A więc widziałeś gazetę - powiedziała. Podeszli do stolika w zacisznym kącie baru. Natychmiast pojawił się kelner i wyjął z kubełka butelkę szampana. Juliet drgnęła nerwowo, mimo że korek wyskoczył zaledwie z cichym syknięciem.

- Czy to jakieś święto? - spytała.

- Nie każdego dnia pojawiaasz się na czołowej kolumnie „Naszej Kroniki”, wznosząc sztandar, żeby poprowadzić oddziały do walki z barbarzyńskimi inwestorami. Moim zdaniem, takie wydarzenie wymaga szampana. Nie martw się, ja stawiam. - Podał jej kieliszek i uniósł swój. - Za bohaterkę dnia!

- Przestań, proszę. W tej sprawie jestem wyłącznie rzeczniczką kupców.

- Chyba kimś więcej. Dobry pomysł z tymi żonkilami.

- Tak uważasz? - Upiła mały łyk szampana i pospiesznie odstawiła kieliszek, bojąc się, że McLeod zauważy, jak drżą jej ręce.

Żonkile... Mów o żonkilach, nakazała sobie. To bezpieczny temat.

- Chciałam pokazać Priors Lane z najlepszej strony. Wolałabym wiszące kosze z bujnymi kwiatami, ale o tej porze roku to niemożliwe.

- W pierwszej chwili nie rozpoznałem tej uliczki. Fotograf bardzo umiejętnie wyostrzył pierwszy plan, tak że nie było widać łuszczących się tynków.

- Wymagało to trochę pracy - przyznała. - Dzięki Bogu, są aparaty cyfrowe.

- I życzliwi, wrażliwi na pochlebstwa fotoreporterzy.

Wreszcie zdołała się odprężyć. Nawet udało jej się uśmiechnąć.

- Ależ z ciebie cynik, McLeod - powiedziała, odważając się na jeszcze jeden łyk. Ostatecznie to nie szampan zrujnował jej życie... - Zapewniam cię, że jego również przeraziła myśl, że to historyczne miejsce mogłoby zginąć pod dwudziestoma piętrami stali i betonu. Dobre zdjęcie było naszym obopólnym interesem.

- Tylko nie mów, że namówiłaś go także na przyniesienie żonkili.

- Co? Och, nie. Dave wyszukał mi beczułki... - Cholera! Nie zamierzała zdradzać, że Dave nie urabia sobie rąk przy malowaniu mieszkania. - Od jednego ze sprzedawców wytargowałam mnóstwo niezbyt już świeżych kwiatów - mówiła szybko, licząc na to, że nie będzie zadawał niewygodnych pytań. - Kupiłam je za grosze.

- Jesteś zadowolona z jego pracy? Mam na myśli Dave'a?

Widać jednak nie była wystarczająco szybka.

- Jest wspaniały. Zamierzałam ci podziękować.

- I pewno byś to zrobiła, gdyby nie rozłączono nam rozmowy.

- Nikt nas nie rozłączył...

Przerwała gwałtownie, nabrała powietrza i poszukała spojrzeniem kelnera.

Natychmiast do nich podszedł i wybawił ją z opresji.

- Zechce pani zajrzeć do menu, proszę pani?

- Tak, proszę.

- Jesteś bardzo szczerą, księżniczko - powiedział Greg, dając znak kelnerowi, żeby położył karty na stoliku. Nie zamierzał pozwolić, aby Juliet ukryła się za wielką skórzaną okładką. - Można by pomyśleć, że od tygodnia nic nie jadłaś.

Nie domyślała się nawet, że Dave Potter konsultował się z nim, zanim pozwolił odciągnąć się od malowania mieszkania. Ani tego, że szczegółowo go informował o postępie prac w sklepie.

- Może nie od tygodnia - odrzekła ze smętnym uśmiechem - jednak cały dzień miałam tyle roboty, że nie wiedziałam, za co się złapać. Poza jedną filiżanką herbaty od śniadania nie miałam nic w ustach. - Zamilkła na chwilę.
- Właściwie śniadania chyba też nie jadłam. - Ponownie spróbowała zmienić temat. - Prosiłam cię już, żebyś nie nazywał mnie księżniczką. Mam wrażenie, że nie możesz zapamiętać mojego imienia.

- Nie ma obawy, Juliet.

Chociaż miała trochę racji. Zwykle dość swobodnie używał pieśzcotliwych określeń: kochanie, dziecinko, skarbie... Jednak do nikogo nie mówił „księżniczko”. To słowo pojawiło się gdzieś z głębi pamięci...

- Nie pozwól, żeby ta praca cię wykończyła - powiedział.
- Zanim się zorientujesz, odejdziesz z Priors Lane i z księ-garni i wrócisz do prawdziwego życia.

- Prawdziwego życia? Co może być prawdziwsze od tego?

- Obawiam się, że jeśli ludzie, których życie związane jest z Priors Lane, nie są na tyle zainteresowani, aby o nią walczyć, ty nie zdołasz ich uratować.

- Ależ oni są zainteresowani. Przynajmniej większość z nich - uzupełniła, kiedy uniósł brwi, sugerując, że przesadziła ze swoim optymizmem. - Z pewnością nie mogę liczyć na poparcie sklepów prowadzonych przez organizacje charytatywne. Mają krótkoterminowe umowy wynajmu i jeśli ta dzielnica znów stanie się atrakcyjna, stracą swoje lokale.

- W drodze do postępu zawsze są tacy, którzy coś tracą.

- Jeżeli teren zniknie pod milionami ton betonu, wtedy stracą wszyscy. Dlatego potrzebny jest ktoś z zewnątrz, kto potrafi spojrzeć na sprawę świeżym okiem i ma czas, żeby zorganizować akcję protestacyjną. Oni sami nie mogą się tym zająć, bo prawie całe dni pracują.

- Wiem. Mam tylko nadzieję, że zdają sobie sprawę, jakie mają szczęście, że postanowiłaś zadbać o ich interesy.

- W końcu sięgnął po menu i podał jej jedną z kart.

.Ale Juliet przestała się już spieszyć.

- Czy to znaczy, że mogę liczyć na twoją pomoc? - spytała. - Powołałiśmy komitet i udało mi się zwerbować do pomocy towarzystwo historyczne...

- Dzięki, ale w tej chwili mam masę spraw na głowie. - Jej komitet z pewnością nie byłby zachwycony, gdyby odkryli, że zaprosiła wroga do ich sztabu.

- Nie interesuje cię, co się stanie? Jeśli nie obchodzi cię Maggie ani pozostali kupcy, może pomyślisz o własnym interesie? Przecież warsztatu Dukea też to dotyczy. Nie martwisz się o pracę?

- Ja tam nie pracuję. Pracuję dla siebie.

- Myślałam... - Doskonale wiedział, co myślała. - Odebrałeś telefon... Jeździłeś ich samochodem.

- Kupiłem go - odparł, zostawiając do jej decyzji, jak zrozumie tę odpowiedź.

- Samochód?

Poczuł rozczarowanie. Gdyby tego zażądała, przyznałby się - zresztą nie zrobił przecież nic, żeby ukryć prawdę - jednak Juliet jakoś nie potrafiła dostrzec tego, co miała tuż pod nosem. Cóż... Zachciało mu się grać rolę prostego fachowca, więc nie powinien się dziwić, że tak o nim myślała...

- Między innymi. Marty Duke zrezygnował z prowadzenia warsztatu. Akurat byłem tam, kiedy zadzwoniłaś.

- Rozumiem. - Zmarszczyła brwi, jakby wciąż się nad czymś głowiła.

- A co myślisz o pozostałej części projektu? - spytał. - Tej wokół doków?

- Na papierze to nawet nieźle wygląda. Pewno nie wszyscy są tym zachwyceni, ale myślę, że nie ma sensu trzymać się kurczowo przeszłości.

- Rzeczywiście.

W jego głosie dosłyszała drwiącą nutę i zmrużyła oczy.

- Nie jestem przeciwniczką postępu, McLeod. Jednak to nie znaczy, że nie widzę różnicy między ożywieniem miasta kilkoma ciekawie zaprojektowanymi budynkami a pogrzebaniem bogatej przeszłości pod wielopoziomowym parkingiem.

- Więc tu ma powstać wielopoziomowy parking?

- To tylko plotka, ale wiesz przecież, że wciąż szuka się nowych miejsc parkingowych. Prior's Lane świetnie się nadaje. Znajduje się akurat w pobliżu centrum handlowego i tych nowych biurów.

- Wydawało mi się, że inwestor zapewnił tam dostateczną liczbę miejsc parkingowych.

Wzruszyła ramionami, a wtedy światło odbiło się w jej kremowej skórze. Całym wysiłkiem woli musiał się powstrzymać, żeby nie poddać się pragnieniom swojego ciała, nie wyciągnąć ręki, nie dotknąć jej...

- Chyba w urzędzie planowania możecie się wszystkiego dowiedzieć - dodał.

- Sprawiają wrażenie, jakby sami nic nie wiedzieli. Albo chcą, żebyśmy tak myśleli. A anonimowa spółka holdingowa, która reprezentuje inwestora, powtarza tylko „bez komentarza”.

- Chyba powinniście rozważyć, czy nie zacząć ich pikietować.

- Ja, moja mama i przeraźliwy Archie? Okropnie byśmy ich nastraszyli.

Roześmiał się, ale gdy spostrzegł, że mówi serio, szybko przybrał poważną minę.

- Musisz więc znaleźć jakiś sposób, żeby ich zmusić do rozmów. Może ludzie z tego historycznego towarzystwa wynajdą jakiś starodawny dokument, który gwarantuje mieszkańcom Melchesteru prawo do handlu na Priors Lane po wsze czasy.

- Szukają czegoś takiego.

- Widzę, że faktycznie masz ręce pełne roboty. Jak sobie dajesz radę ze sklepem? Pewno musiałaś zrezygnować z tych zmian, które chciałaś tam wprowadzić.

-No...

Zdawała sobie sprawę, że to znakomity moment, by powiedzieć mu całą prawdę. Wyznać, że odciągnęła Dave'a

od remontu mieszkania i namówiła do przemalowania sklepu. Chociaż... lepiej chyba poczekać, aż robota zostanie skończona.

Na razie postanowiła ominąć ten temat.

- Maggie świata poza tobą nie widzi.

Uśmiechnął się lekko, ale jego oczy pozostały poważne. Miała wrażenie, że doskonale wiedział, czemu nagle skierowała rozmowę na inne tory. Jednak powiedział tylko:

- Odwzajemniam to uczucie.

- I mimo to nie pomożesz nam? Nie zrobisz tego nawet dla niej?

- Nie poddajesz się łatwo. Prawda, księżniczko?

- Nie wtedy, jeśli chodzi o tak ważną sprawę - rzuciła, zła, że nie chciał jej pomóc. W dodatku znów zapomniał, jak ma na imię.

Gdy była małą dziewczynką i niewiele wiedziała o świecie, użyte przez niego przezwisko całkiem ją oczarowało. Teraz jednak zdawała sobie sprawę, że nadaje je każdej poznannej dziewczynie. Przynajmniej nie musiał się wysilać. I nie było groźby, że pomyli imiona.

- Przykro mi o tym mówić, McLeod, ale uważam, że powinienes trochę poćwiczyć pamięć. Na imię mam Juliet.

- A ja Gregor. Zaczynj go używać, a obiecuję, że wtedy nawet siłą nie wygnasz mnie z Priors Lane.

Jego twarz pozostawała w cieniu, lecz błysk oczu i łagodny niski głos, w którym słycać było wyzwanie, sprawiły, że poczuła, jak płoną jej policzki. Wiedziała, że ma tylko jedno na myśli i z całą pewnością nie chodziło o Prior's Lane...

Może zresztą nie tylko jemu...

Gregor...

Miała ochotę poczuć jego imię na języku. Wyszeptać je cicho, usłyszeć jego dźwięk...

- Chyba masz słusność - rzuciła szorstko. Modliła się, by przytłumione światło ukryło jej rumieńce. - Nie powinieneś się w to angażować. W każdym razie teraz, gdy masz tyle na głowie.

- Jak chcesz. W każdej chwili możesz zmienić zdanie - powiedział wolno. - Chyba powinniśmy już coś zamówić. Kierownik sali mógłby się zdenerwować, gdybyśmy pomdleli z głodu. To byłoby w złym stylu.

Poczuła się, jakby nagle buchnęło na nią ciepło z uchylonych drzwiczek pieca. Ogarnęła ją pokusa, żeby wyciągnąć rękę i trochę sparzyć palce...

Dziwne uczucie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, lecz Juliet wiedziała, że w ich stosunkach nastąpiła nieodwracalna zmiana. Nie dlatego, że próbował nakłaniać ją do czegoś, na co nie była gotowa, lecz właśnie dlatego, że tego nie robił. Pozostawił wszystko jej decyzji. I teraz oboje wiedzieli, że ilekroć na niego spojrzy lub zwróci się do niego po nazwisku, będzie musiała myśleć o tym, co powiedział.

A wszystko, co miała zrobić, to użyć jego imienia.

Gregor...

Podniosła wzrok znad menu i nagle napotkała spojrzenie jego błyszczących oczu. Jak niewiele brakowało, żeby porzuciła myśl o jedzeniu, chwyciła jego rękę i pobiegła w ciemność, gdzie mogliby oddać się namiętności.

W tym momencie Gregor uśmiechnął się i czar prysnął.

- Zechcesz mi pomóc? - Odłożył swoją kartę, przysunął

się bliżej i położył rękę na oparciu jej krzesła. - Prości robotnicy nieczęsto bywają we francuskich restauracjach.

Ani przez chwilę nie wierzyła, że spis potraw mógł zbić go z tropu, jednak mało ją to obchodziło. Tym bardziej że miękki materiał jego marynarki delikatnie muskał jej skórę, a za plecami czuła jego silne ramię.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Zimno ci?

- Nie, tylko... - Miała wrażenie, że przeszedł po niej mroz. - Może powinnam włożyć mniej...

- Mniej? To w ogóle możliwe? - wpadł jej w słowo McLeod.

- Przejęczyłam się. Chodziło mi o coś cieplejszego. - Zaśmiała się z wysiłkiem. - To przecież zupełne szaleństwo, nie uważasz? Mężczyźni ubierają się przyzwoicie w koszule i garnitury, a nawet zakładają krawat, który chroni ich szyję przed każdym podmuchem, a kobiety rywalizują ze sobą, która włoży mniej.

- Cóż, w imieniu mężczyzn mogę cię zapewnić, że to bardzo dobry układ. - Pochylił się i złożył na jej ramieniu delikatny pocałunek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ciepłej? - spytał Greg, patrząc w jej szeroko otwarte oczy. Widział, jak szuka właściwej odpowiedzi, starając się ukryć, co czuje. - Nie musisz mi dziękować. Ogrzewanie centralne jest wliczone w usługę.

Zacisnęła wargi i ignorując go, pochyliła głowę nad kartą. Wykorzystał okazję, żeby podziwiać aksamitną skórę na jej plecach, patrzeć na włosy, które zsunęły się z jej zgrabnej szyi i zasłoniły twarz...

Podniosła wzrok i widząc, gdzie wędruje spojrzeniem, odezwała się:

- No już, McLeod. Chciałabym dzisiaj coś zjeść.
- Tak jest, o pani.

Przez chwilę skupili się na porównywaniu zalet ryb i drobiu, wspomnianiu dobrych dań, wymianie doświadczeń, poznaniu swoich upodobań. Prosta, relaksująca rozmowa.

- Nic nie opowiadasz - zaczęła Juliet, gdy kelner przyjął zamówienie - o swojej wyprawie do Szkocji. Czy przyjęcie córki się udało?

- Chyba tak, jeśli oczywiście ktoś lubi spędzać czas w tłumie ludzi, którzy za dużo jedzą, za dużo piją i tańczą przy muzyce, od której pękają bębunki w uszach.

- Uczciwie mówiąc, ja za tym nie przepadam.

- Ani ja. - Posłał jej porozumiewawczy uśmiech. - Ale Chloe dobrze się bawiła, a tylko na tym mi zależało.

- Jaki kochający ojciec. - Zaskoczyło ją, że głos jej zadźwięczał. A już myślała, że odzyskała panowanie po tym szokującym pocałunku... - Masz może jej zdjęcie?

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął portfel.

Młoda kobieta, która uśmiechała się z fotografii, tak bardzo przypominała McLeoda, że Juliet wstrzymała oddech. Miała takie same ciemne, niesfornie kręcące się włosy, takie same wyraziste niebieskie oczy.

- Szykuj się na poważne kłopoty, McLeod - powiedziała w końcu, oddając mu zdjęcie.

Po raz pierwszy widziała, że jest zbity z tropu.

- Tak? - Najwyraźniej nie mógł zrozumieć, co takiego dojrzała, czego on nie zauważył.

- Jeśli nie wstąpi do klasztoru, gdziekolwiek się ruszy, pozostawi po sobie mnóstwo złamanych serc. Musi być ci ciężko, że mieszka tak daleko.

- Jej dziadkowie uważają, że i tak za blisko. Robili wszystko, żeby trzymać mnie od niej jak najdalej. I oczywiście od Fiony. Wiesz, to dziwne. Przez całe lata ich nienawidziłem. Nigdy nie wybaczyłem im tego, co zrobili. Ale podczas przyjęcia, gdy zobaczyłem Chloe w objęciach jakiegoś zuchwałego chłopaka, zrozumiałem w końcu, że chcieli po prostu uchronić ją przed takimi facetami jak ja.

- Podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Widać teraz moja kolej na cierpienie.

- Rodzice Fiony rozdzielili was? - spytała. - Nie dopuścili, żebyście się pobrali? Czy może mam zbyt staroświeckie poglądy?

- Patrzę na to tak samo jak ty, ale tu nie o to chodziło. Łączyło nas jedynie to, że oboje mieliśmy po osiemnastu latach i chcieliśmy się dobrze bawić. Ona była w ostatniej klasie żeńskiej szkoły St. Mary. Miała już zagwarantowane miejsce w Oksfordzie. Mnie został jeszcze jeden rok w publicznej szkole. Należeliśmy do zupełnie innych światów. Byłem jednym z tych chłopaków, przed którymi zawsze ją ostrzegano.

- Niegrzeczni chłopcy, szczególnie ci z błyszczącymi motocyklami, najwyraźniej niezwykle pociągają panienki z dobrych domów.

- Skąd wiesz, że miałem motocykl?

- Mogłabym się założyć - powiedziała, starając się zamaskować swoją pomyłkę pogodnym uśmiechem.

Przez moment przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

- Gdyby jedna z koleżanek Fiony nie zadała sobie trudu, nigdy nie dowiedziałbym się o Chloe.

- Dlaczego sama ci nie powiedziała? O dziecku?

- Twierdziła później, że bała się o mnie i w ten sposób chciała ochronić mnie przed swoim ojcem. Podejrzewam, że myślała również o własnej skórze. Już i tak przeżyła dużo wstydu, gdy odkryli, że zadała się z chłopakiem z dołów społecznych. Nie była zachwycona, gdy zacząłem się domagać praw rodzicielskich. Moi rodzice uważali, że zważywałem. Ich zdaniem powinienem się cieszyć, że udało mi się uwolnić od kłopotów. Nic nie rozumieli i nawet nie próbowali mi pomóc. To właśnie Maggie dowiedziała się, co mogę zrobić, pomogła mi zdobyć nakaz sądowy na zrobienie testów, które poświadczyłyby, że jestem ojcem. Ale

zanim go dostarczono, nagle przed ich domem pojawił się napis „Na sprzedaż”.

- A więc to tam pojechałeś...

- Słucham?

- Pojechałeś za nimi. Do Szkocji - powiedziała pospiesznie, zła na siebie.

- To byłoby proste. - Wzruszył ramionami. - Ale Fiona przeniosła się do Szkocji wiele lat później. Nie, najpierw udało mi się odszukać ich w Irlandii, gdzie trzeba było od nowa wystąpić o ustalenie ojcostwa.

- Rzuciłeś szkołę, żeby ją ścigać? Zrezygnowałeś z szansy na studia?

- Są ważniejsze sprawy.

- Niewielu osiemnastolatków myślałoby tak samo.

- Może nie byłem stworzony do akademickiej kariery.

W każdym razie w końcu przyznano mi prawo do odwiedzin i mogłem raz w miesiącu spędzić popołudnie z Chloe w obecności jej niani.

- Raz w miesiącu! To potworne.

- Pewno liczyli na to, że w końcu się znudzę albo Chloe nie będzie chciała tych wizyt, gdy mnie lepiej pozna. Kiedy - ku ich niewątpliwemu zdumieniu - okazało się, że mimo robotniczego pochodzenia jestem całkiem cywilizowanym człowiekiem, regularnie się kąpię i wiem, jak korzystać z noża i widelca, zaczęto mnie nawet zapraszać na urodziny Chloe.

- A teraz nie tylko zapraszają cię na przyjęcia, ale nawet pozwalają ci za nie płacić. - Nie mogła uwierzyć, że można tak znielebić nieznanym sobie ludzi. - Mam nadzieję, że przynajmniej witają cię ciepło.

- Prawdę mówiąc, nie doszedłem jeszcze, czy kobziarze

grają na powitanie, czy po to, żeby mnie wypłoszyć - przyznał, wzbudzając śmiech Juliet. - Prawdopodobnie wina leżała po obu stronach, ale Chloe jest moją córką i podarowałbym jej księżyc, gdyby tylko poprosiła.

- Szczęśliwa dziewczyna.

- To prawda. Ma rodzinę, która ją kocha, i ojca, który...

- Wzruszył ramionami.

Oddałby za nią życie, uzupełniła Juliet w myślach.

- A Fiona? - spytała. - Jak ona odbiera twoje wizyty?

- Rzadko ją widuję. Zrobiła sobie przerwę, żeby ukryć ciążę, a potem poszła na studia w Oksfordzie, jak wcześniej planowała. Później poznała Angusa. Mają już trzech własnych synów.

- Szczęśliwe zakończenie... Dla wszystkich poza tobą.

- Wciąż nad tym pracuję. Powiedz coś o sobie. Wiem, że masz mamę, która jeździ zdezelowanym samochodem. A twój ojciec?

-W przeciwieństwie do ciebie, niewiele sobie robił z ojcostwa. - Nagle zapragnęła wykorzystać okazję, żeby pozbyć się bólu, którego z nikim dotąd nie dzieliła. - Prawda jest taka, że nigdy go nie poznałam.

Dopiero kiedy kelner zaprowadził ich do stolika i postawił przed nimi talerze, McLeod zadał pytanie, które zdawało się wisieć w powietrzu.

- A chcesz tego? Chcesz się z nim spotkać? Poznać go?

- Trudno powiedzieć - przyznała, podnosząc widelec i bezwiednie przesuwając mały talerz. - Porzucił moją matkę. Uciekł. Jedyne uczucie, jakie do niego żywiłam, to pogarda.

-Ale?

- Ale... - westchnęła. - W moim życiu są luki, których nie potrafię wypełnić. Możesz być pewien, że któregoś dnia Chloe uświadomi sobie, jakie ma szczęście, że jesteś jej ojcem.

- Dziękuję. Czasami zastanawiałem się, czy moje wizyty byłyby tak oczekiwane, gdybym nie przywoził ze sobą zabawek.

- Zabawek? - Roześmiała się. - Założę się, że teraz już nie możesz się wykić lalkami Barbie.

- Ten zakład na pewno byś wygrała. Mogę ci powiedzieć, że w tym roku jej samochodzik nie był zrobiony z różowego plastiku. - Uśmiechnął się. - Zdawało mi się, że jesteś głodna. To jest naprawdę smaczne. - Podał jej kawałek wędzonej kaczki. - Spróbuj.

- Mmm... - Dopiero gdy napotkała jego spojrzenie, uświadomiła sobie, jaki intymny był ten gest.

- Bardzo delikatne - wykrztusiła, odchylając się na krzesło i udając namysł. - Co to za przyprawa?

- Nie mam pojęcia. Zresztą mało mnie to obchodzi. Najważniejsze, że spełnia swoje zadanie. Nie zamierzam natychmiast po powrocie do domu wypróbować tego dania w swojej kuchni.

- Nie gotujesz?

- Nie, chyba że nie mam wyjścia - przyznał. - A ty?

Wzruszyła ramionami.

- Możliwe, że kobiety nawykły do gotowania dla siebie.

- Tylko dla siebie?

Uśmiechnęła się.

- Tak, tylko dla siebie. Byłam krótko z kimś związana, ale to już przeszłość.

- I dlatego wróciłaś do Melchesteru?
- Kto powiedział, że wróciłam?
- Ty. Mówiłaś, że nie mieszkałaś w Melchesterze od czasu studiów. A także to, że szukasz pracy i mieszkania. Mieszkanie już znalazłaś.
- Także całkiem dużo pracy. Tyle że na razie nic, za co by mi płacono.
- Maggie ci nie płaci?
- Na razie zawiesiliśmy rozmowy na temat pieniędzy. Ona nie chce nawet mówić na temat czynszu, więc ja nie pozwolę płacić sobie za pomoc. A jej księgowy rwie sobie włosy z głowy, patrząc na wprowadzane przeze mnie zmiany. Zdaje się, że jego zdaniem Maggie powinna w ogóle zamknąć sklep.
- Zabawny sposób załatwiania interesów.
- Cóż, nie mogę powiedzieć, że go polubiłam, ale ma trochę racji. Maggie z moją mamą gra w bingo, ale mnie nie widziała od lat. Mogę być kimkolwiek i ograbić ją ze wszystkiego.
- Powinnaś mu powiedzieć, ile cię kosztowało wstawienie szyby w oknie na zapleczu.
- Jestem pewna, że dostałby zawału. Trochę się uspokoił, gdy sprawdził moje zdolności kredytowe i referencje, które mu pokazałam, ale i tak wydaje się niezbyt szczęśliwy.
- A który księgowy jest szczęśliwy? W każdym razie powinien się raczej zająć tym, czy sklep nadal funkcjonuje. Obojętnie w jaki sposób.
- Może uważa, że księgarnia nie jest tego warta - powiedziała. - Bo jeżeli nie podejmiemy ogromnych

wysiłek, w przyszłym roku o tej porze zniknie pod parkingiem.

Pokręcił głową z drwiącym uśmiechem.

- Dobra jesteś. A już się zastanawiałem, ile czasu ci zajmie, żeby wrócić do tego tematu. Co zamierzasz zaproponować urzędowi planowania?

- Zaproponować?

- Chcesz zachować tę cenną uliczkę, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nie może pozostać w takim stanie?

- Oczywiście, że nie. Trzeba będzie wszystko odmalować, powiesić kwiaty... - Ledwie zaczęła mówić, uświadomiła sobie, że to znacznie za mało. - Poza tym Saffy zwróciła mi uwagę...

-Saffy?

- Uczennica, która pomaga mi w sklepie. Spytała, po co ludzie mieliby wychodzić na deszcz i zimno, skoro mogą wszystko kupić w centrum.

- I co? Pomyślałaś, żeby jakoś to przykryć?

- Nie mam pojęcia, czy to w ogóle możliwe. Przydałby się nam architekt albo inżynier budowlany.

- Ich usługi kosztują.

- Oczywiście będziemy musieli wymyślić sposób, żeby kupcy zechcieli tu wrócić. - Zignorowała uwagę, którą rzucił stłumionym głosem. - Zrobiłam już rozeznanie... - Zaczęła opowiadać o swoich pomysłach. Przerwała raptownie, gdy zorientowała się, że od dziesięciu minut McLeod nie powiedział ani słowa. - Przepraszam. Zaraz uśniesz z nudów.

- Przyznaję, że handel nie jest moim ulubionym tematem rozmowy, kiedy siedzę w romantycznej restaura-

cji z piękną kobietą, nawet jeśli nie jest to randka. Lecz w jednej sprawie masz rację. Zainteresowanie kilku kupców zdziała o wiele więcej niż wszystkie petycje.

- Mówisz tak, bo boisz się, że postawię cię przed księgarnią, abyś zbierał podpisy.

- Niczego się nie boję. Możesz mnie prosić o wszystko, księżniczko. Jeżeli nie będę chciał czegoś zrobić, po prostu ci powiem. - Uniósł swoje wyraziste brwi. - Czy chciała-byś, żebym coś dla ciebie zrobił?

Odniosła niejasne wrażenie, że w tej chwili nie mówią już o kampanii.

- Może zamówisz deser? - zaproponowała.

Greg podniósł wzrok i natychmiast pojawił się kelner. Powstrzymała go, nim zaczął wymieniać, jakie desery oferują.

- Proszę coś z czekoladą - powiedziała.

- Ja dziękuję - dodał McLeod. - Opowiedz mi o tym związku, który skłonił cię do ucieczki z Londynu.

- Cóż... Był krótki. - Gregor wyraźnie czekał na ciąg dalszy, więc wyjaśniła: - On był strasznym draniem. A ja byłam głupia.

- Z tego, że szukasz pracy, wynika, że pracowaliście razem. A może się myłę?

- Niestety, masz słuszność. Popełniłam fatalny błąd, spotykając się z kolegą z pracy. - Wzruszyła ramionami. - W takiej sytuacji, gdy coś nie wychodzi, ktoś musi odejść.

- Był twoim szefem?

- Pudło. Ja byłam jego szefem. A przynajmniej tak sądziłam. Kiedy ukradł mój pomysł i na moich plecach wjechał do zarządu, dałam się ponieść emocjom. Akurat wtedy podano szampana.

- Pewno chlusnęłaś mu nim w twarz?

- Właśnie. - Odchyliła się na krześle. - Wiedziałam, że od razu się domyślisz. Łatwo to przewidzieć. Wystarczy podać kobiecie kieliszek szampana i można mieć pewność, że zrobi z siebie idiotkę. Zgadza się. Szampan zalał garnitur od Armaniego, zawartość biurka została spakowana do pudełka i siedem lat ciężkiej pracy poszło w błoto.

- Bardzo mi przykro.

- Dlaczego? Przecież to nie twoja wina.

- Chodzi mi o szampana w barze. Nic dziwnego, że miałaś taką przerażoną minę.

- Po prostu bałam się, że po tym, jak naraziłeś się na taki wydatek, nie będę mogła przełknąć ani łyku. Kiedy już udało mi się opanować, okazało się, że nawet mi smakuje.

- Może to trochę jak z jazdą na rowerze. Po upadku powinno się szybko wsiąść z powrotem, bo potem będzie już trudno.

- To dziwne... Kilka dni temu mama powiedziała dokładnie to samo.

- O szampanie?

- Nie, o... - urwała nagle. - A ty? Chyba w twoim życiu musiał być ktoś ważny poza Fioną?

- Ona nie była ważna, chociaż zmieniła moje życie. Było wiele dziewczyn, czy raczej kobiet. Jedna, może dwie wydawały się ważne, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Zresztą to było dość dawno. Zdaje się, że z wiekiem człowiek robi się bardziej wybredny.

Zaczęła się zastanawiać, czy McLeod się nie oszukuje.

Może nawet nie zdawał sobie sprawy, że jedyną kobietą, z którą chciał się związać, była matka jego dziecka.

- A ten lunch, który musiałeś odwołać, gdy przyszedłeś mi na ratunek?

- Przykro mi, że cię rozczaruję, ale umówiłem się wtedy na lunch z kimś, kto dla mnie pracuje. Co prawda Neil czasami zachowuje się jak stara baba, jednak ma żonę i dwoje dzieci.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

Tak jakby nie wiedziała... Znacznie zabawniej było obserwować, jak się tym zdenerwowała...

Na szczęście od odpowiedzi wyratował go kelner, który postawił przed Juliet dzieło sztuki z cukru i czekolady.

- O matko! Czuję wyrzuty sumienia na samą myśl, że mam to zjeść - westchnęła.

McLeod pochylił się, odłamał kawałek czekolady i podniósł go do jej ust. Próbowana chwycić czekoladę zębami, ale słodka ozdoba pokruszyła się i usta Juliet nagle zamknęły się na czubkach jego palców.

I raptem czas się zatrzymał. Jej serce, które zwykle biło własnym rytmem, nie sprawiając jej kłopotów, zaczęło niespokojnie tłuc się o żebra. Czuła, jak dół brzucha oblewa fala gorąca. Jej ciało stało się miękkie, chętne, gotowe...

- No proszę - powiedział, zlizując z kciuka okruszek, który zostawiła. - To całkiem łatwe.

- Naprawdę? - Jej głos był niewiele głośniejszy od szepotu. - Nie powiedziałabym tego.

Ujął jej rękę i trzymając ją między swymi dłońmi, powiedział:

- Życie jest zbyt krótkie, Juliet, żeby rezygnować z drobnych przyjemności.

A więc to takie proste? Ona spędzała życie na pracy. Przyjemności były dla innych ludzi. Kiedy już się skusiła, aby zacząć z nich korzystać, okazało się, że rozsądek ją zawiódł. Nic dziwnego, skoro nie miała doświadczenia.

Nie miała nic do zaoferowania McLeodowi poza ciepłem i przyjemnościami cielesnymi. Jednakże... zdawała sobie sprawę, że oddałby jej to z nawiązką.

Prosta przyjemność.

- Przepraszam cię na chwilę.

Zdażył się zaledwie unieść na krzesło, gdy przeszła przez salę.

- Proszę rachunek - powiedziała do zdumionego kelnera, podając mu kartę kredytową. - I niech recepcjonista wezwie nam taksówkę do Melchesteru.

- Ale, proszę pani...

- Natychmiast. - Nie czekała, żeby sprawdzić, czy wszystko zrozumiał. Weszła do toalety, mając nadzieję, że znajdzie tam to, czego szukała.

Myślała, że ręce będą jej drżeć, a tymczasem gdy wrzucała monety do otworu automatu, były tak spokojne, jak dłonie kardiochirurga. Powinna poczuć zażenowanie, kiedy kobieta, która malowała usta, napotkała jej spojrzenie i uśmiechnęła się znacząco. Lecz ona wrzuciła zafoliowaną paczuszkę do torebki i odpowiedziała uśmiechem.

Podpisując rachunek, dorzuciła sowity napiwek, podziękowała kelnerowi za wspaniały wieczór, po czym wróciła do stolika.

- Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu - powie-

działa, siadając przy stoliku i biorąc do ręki łyżeczkę - że zrezygnujemy z kawy. Za pięć minut podjedzie taksówka.

- Zamówiłaś taksówkę?

- Tak, Gregor - odparła. Spojrzała mu w oczy, by mieć pewność, że zrozumiał, co do niego mówi. - Chcę, żebyś zabrał mnie do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Greg nie przeoczył faktu, że użyła jego imienia, i doskonale rozumiał, dlaczego wymówiła je w taki właśnie sposób. Wymruczała je cicho i miękko, podsycając podniecenie, z którym walczył od momentu, gdy pojawiła się w drzwiach restauracji.

Domyślał się, dlaczego tak się ubrała. Chciała go ukarać za to, że zachował się jak jaskiniowiec. Nawet nie miał nic na swoją obronę. Pod koniec wieczoru z pewnością zamierzała wezwać taksówkę... Jedyne, co mógłby zrobić, to patrzeć, jak wsiada do środka, rzucić okiem na jej śliczne plecy i długie nogi, zanim pomacha mu na pożegnanie.

Jego zmysły były napięte do granic możliwości. Nic go nie obchodziły subtelności potraw. W pamięci miał wyłącznie smak skóry na jej ramieniu.

Nawet kiedy słuchał, jak mówi o ratowaniu Priors Lane - a przecież nie był to najmiłszy temat - czuł, jak wzrasta jego pożądanie. Zapach jej skóry, ubrań, włosów oszałamiał go. Zmuszał się, żeby od czasu do czasu zadać jakieś pytanie, aby nie wyjść na kompletnego idiotę.

A teraz wpatrywała się w niego swymi srebrnymi oczami i tylko wielkie rozszerzone źrenice zdradzały, co się dzieje w jej głowie. Wymawiając jedno słowo, zapropono-

wała mu to, czego jego rozpalone ciało tak bardzo pragnęło.

Każda komórka krzyczała: „Tak! Nie wahaj się!”, lecz coś go ostrzegało, że Juliet wcale tego nie chce. W głębi duszy wiedział, że jemu również nie o to chodziło.

Pragnął jej. Aż trudno uwierzyć, jak bardzo. Jednakże chciał, żeby to było także jej pragnienie... Żeby nie miała żadnych wątpliwości... Nie zamierzał być kolejną sprawą do załatwienia.

Łatwo było o tym rozmyślać, znacznie trudniej wprowadzić swoje postanowienia w czyn. Musiał najpierw ochłodzić, pozwolić, żeby ciało zaczęło reagować na to, co nakazywał umysł.

- Za chwilę wracam - powiedział, podnosząc się.
- Ja już...

Nie wierzył własnym uszom. Czy naprawdę zamierzała spojrzeć mu w oczy i oznajmić, że nie musi iść do automatu, bo już o wszystko zadbała?

Kiedy patrzył na nią wyczekująco, jej policzki pokryły się ciemnym rumieńcem i nagle potrząsnęła głową. Nie dowiedział się, co chciała powiedzieć, bo raptem straciła pewność siebie.

Nie była tak spokojna, jak starała się wyglądać. Serce zabiło mu mocniej, kiedy wyszedł na zewnątrz restauracji, licząc na to, że chłodny wiatr od rzeki zastąpi lodowaty prysznic. Gdy wrócił do środka, siedziała nad nietkniętym deserem.

- Idziemy? - spytał.
- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała.
- Jesteś wystarczająco słodka - odparł, biorąc ją pod łokieć i podnosząc na nogi. - Taksówka już przyjechała.

- Naprawdę? I nie może poczekać?

Zauważył, że z jej policzków zniknęły rumieńce. Prawdę mówiąc, była blada jak płótno. Widocznie przemyślała sprawę.

Mógłby przerzucić ją przez ramię i porwać do swojej jaskini, jak pewno postąpiłby dzikus, za jakiego go miała. W tym celu potrzebowałby prowadzonej przez szofera limuzyny...

Kiedy wyszli na zewnątrz, dostrzegł w oddali swój samochód, który właśnie odjeżdżał. Kierowca z pewnością musiał pomyśleć, że jego szef doznał pomieszania zmysłów. Prawdopodobnie tak też myślał kelner, gdy Gregor kazał mu anulować rachunek zapłacony przez Juliet, po czym sam go uregulował.

Greg otworzył drzwiczki taksówki.

- Nie wiem, co miałaś na myśli - szepnął, gdy wsiadała do auta. - Chodziło ci o dom mamy czy księgarnię? - spytał obojętnym tonem.

Zawahała się na chwilę. Myślał, że skorzysta z wyjścia, które jej proponował. W końcu jednak uniosła buntowniczo brodę i odrzekła:

- Księgarnię. Rano muszę zabrać się do roboty.

Podał kierowcy adres i usiadł z tyłu obok Juliet.

- Zapnij pas, Juliet - polecił. W ten sposób miał pewność, że zachowają odpowiedni dystans.

- Dziękuję za wspaniałą kolację - odezwał się. - Ta kaczka była wyjątkowa.

Trudno jej było uwierzyć, że to powiedział. Ona nie była w stanie w ogóle przypomnieć sobie, co wkładała do ust. Pamiętała jedynie smak czekolady i... jego skóry. Guzik ją

obchodziło, co myślał na temat kaczki. Chciała czuć na sobie jego ręce, jego usta, które przyniosą jej niewyobrażalną rozkosz. Swoje usta...

W marzeniach właśnie w tej chwili powinien patrzeć jej w oczy i przypomnieć sobie ją, a także dzień, kiedy naprawdę był jej rycerzem...

Nie, nawet ona nie była taka głupia.

Powinna pamiętać, że chciał nią zastąpić kobietę, której nie mógł zdobyć. Dziewczynę ze szkoły St. Mary, pochodzącą z dobrego domu, mówiącą wytwornym językiem, jego prawdziwą „księżniczkę”. Ona, Juliet, była tylko fałszyfikatem. Podróbka, nad którą matka tak długo pracowała, aż jej wymowa stała się idealna. Zapewniała córkę, że ciężka praca przyniesie korzyść i zaprowadzi ją tam, gdzie żadna z dręczących ją koleżanek nie dotrze.

Jak się okazało, miała słuszność. Znakomity uniwersytet, dyplom z wyróżnieniem, solidne podstawy do kariery.

Jednak tamte dziewczyny miały coś innego, za czym ona tęskniła. Kochających mężczyzn, dzieci, poczucie bezpieczeństwa. Wszystko to, co na jej liście znalazło się po stronie „absolutnie niemożliwe”, bo nie potrafiła nikomu zaufać na tyle, aby zaryzykować zejście z obranej drogi.

Teraz jednak chodziło o co innego. Nie liczyła na związek na całe życie. Chciała tylko jednej nocy, która zapełniłaby przejmującą pustkę. Którą mogłaby na długo zachować w pamięci. Miała chyba prawo, żeby odhaczyć jedno skromne marzenie...

Zdaje się, że nie w tym życiu, pomyślała, a głośno powiedziała:

- A więc to koniec. Długi zostały spłacone.

Greg spojrzął na nią.

- Poza kawą.

- Kawą?

- I remontem. Chyba zaprosisz mnie na kawę? I pokażesz, jak Dave radzi sobie z pracą nad twoim mieszkaniem. Myślałem, że właśnie dlatego tak nagle postanowiłaś wyjść z restauracji.

Dobry Boże! Nawet przez ułamek sekundy nie pomyślała o mieszkaniu, gdy wyszeptała jego imię. Prawdę mówiąc, poddasze wyglądało teraz gorzej niż wówczas, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy. Zerwana wykładzina w holu, plamy w miejscach, gdzie Dave poprawiał tynk, farba podkładowa na ścianach...

Nie zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, bo w tym momencie taksówka zatrzymała się w alejce za sklepem.

Gregor otworzył drzwi, wyłączył alarm i odsunął się, żeby ją przepuścić. Już na progu czuło się intensywny zapach farby. Siegała do kontaktu, gdy nagle odwróciła się i opuściła rękę.

- Gregor... Muszę ci coś wyznać.

- Później. - I nim zdążyła wyjaśnić, że remont sklepu wydawał jej się ważniejszy od malowania mieszkania, przycisnął ją swoim ciałem do ściany. - Na razie chcę usłyszeć tylko jedno.

- To nie może czekać....

Ale jego ręce już były pod płaszczem, unosiły sukienkę do góry, przesuwając się w górę po udach.

- Chodzi o mieszkanie... - mówiła z uporem.

Kiedy dłonie Grega dotarły do koronkowego brzegu

pończoch, z jego ust wyrwał się gardłowy jęk, który poruszył jej zmysły...

- I o Dave'a...

Jego usta przesuwwały się wzdłuż dekoltu sukienki, zostawiając wilgotny ślad na jej piersiach. Zamiast go odpuścić i spytać, co sobie myśli, zachęcająco odchyliła głowę, żeby mógł wziąć więcej.

- I o sklep...

Zaczęła gubić się w tym, co właściwie chciała powiedzieć. Miała wrażenie, że zaczyna się topić w jego rękach...

- O malowanie...

Kiedy uniósł jej pośladki i oparł ją o swoje ciało, żeby mogła poczuć, jaki jest podniecony...

- Zbyt dużo mówisz, księżniczko - powiedział chrapliwie, patrząc na jej twarz.

Żaden z mężczyzn, z którymi się spotykała, nie zachowywał się w tak zuchwały, cyniczny i niewiarygodnie seksowny sposób. Mimowolnie oblizała nabrzmiąte, opuchnięte wargi. Pragnęła, żeby zdarł z niej sukienkę, padł na kolana...

- Gregor... - Zabrzmiało to jak błaganie. Mimo ciemności widziała jego błyszczące oczy. - Proszę...

- Powiedz, czego chcesz, Juliet.

Nie miał wątpliwości, co oznacza jej „proszę”. Czuł, że jej ciało staje się miękkie i uległe, słyszał ciche westchnienia, jakie wydobywały się z jej ust. Więc dlaczego wciąż się powstrzymywał, dając jej czas na zastanowienie, szansę na wycofanie się?

Pod swoimi dłońmi czuł gorące, zmysłowe kobiece ciało. Musiała wiedzieć, co on czuje, i wcale go nie odpychała. Z pozoru wszystko więc wydawało się cholernie proste.

Tyle że nie było.

I zupełnie nie rozumiał dlaczego.

Chyba że...

- Muszę wiedzieć, że tego chcesz.

W odpowiedzi uniosła dłoń i dotknęła jego policzka. Poczł, że wstrząsnął nią dreszcz. Nie ze strachu, bo wówczas stałaby sztywno w jego ramionach i z pewnością nie zachęcałaby go, gdy całował jej piersi. Drżała z pożądania... Ta świadomość sprawiła, że poczuł się znacznie silniejszy, bardziej męski niż kiedykolwiek w życiu. Mimo to wciąż czekał...

Zupełnie jakby chciała wynagrodzić mu cierpliwość, uniosła drugą rękę, objęła jego twarz, po czym powoli uniosła głowę i bardzo delikatnie go pocałowała.

Nagle uświadomił sobie, że jej twarz jest mokra od łez. W tym momencie zrozumiał, jakim był głupcem. To wcale nie była gra... Zdał sobie sprawę, że zrobi wszystko, aby ją zdobyć. Niekoniecznie teraz, lecz pewnego dnia, gdy już zasłuży na jej zaufanie...

Poczł wstyd, kiedy przypomniiał sobie, jaki był arogancki, z jakim uporem postanowił czekać, aż ona zdradzi mu swoje pragnienia, aż zrobi pierwszy krok... Właściwie zasłużył na to, by odsunęła się od niego i oznajmiła, że wspólny wieczór dobiegł końca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Juliet?

Nie mógł dłużej znieść tej ciszy. Teraz to on błagał... To on padał na kolana. Przynajmniej w wyobraźni.

I raptem w przyćmionym świetle dostrzegł jej uśmiech.

- Pozwolisz, że kawę zrobię ci później? - spytała.

Juliet uniosła powieki. Czuła się jak nowo narodzona.

Przez całe życie starała się spełniać czyjeś oczekiwania, jednak tej nocy podjęła ryzyko i zdecydowała się urzeczywistnić własne marzenia.

Promienie porannego słońca błyszcząły na nagich ramionach Gregora. Nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła rękę i przesunęła palce wzdłuż jego obojczyka, a potem powoli w dół...

Chwycił jej dłoń, nim było za późno.

- Musimy porozmawiać, księżniczko.

- Naprawdę, McLeod? - spytała filuternie.

- Do diabła, dziewczyno! Znowu zaczynasz? Przysięgam, że nie mówiłem tak do żadnej innej kobiety.

I nagle słońce skryło się za chmurą.

- Nigdy? - upewniła się.

- Nigdy.

Tylko ktoś, kto wiedział, że kłamię, dostrzegłby przerwę, która trwała zaledwie ułamek sekundy. Wahanie mężczyzny, który zastanawia się, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać. I wybiera kłamstwo.

Czemu się zdziwiła? I czy w ogóle miało to jakieś znaczenie? Przecież to całkiem niewinne kłamstwo, które miało sprawić, żeby poczuła się wyjątkowa.

Więc czemu czuła się tak podle?

- Przepraszam, McLeod. - Nigdy jeszcze nie była tak wdzięczna, słysząc dzwonek do drzwi księgarni. - Obawiam się, że to mama. - Odrzuciła pościel i pospiesznie zbierała jego rozrzucone ubranie. - Przyszła mi pomóc.

Przekreślił się na bok, patrząc na nią uważnie, i nagle poczuła się zawstydzona swoją nagością.

- Ja też chętnie pomogę. Później możemy porozmawiać.

Rzuciła na łóżko zebrane części garderoby.

- Będziesz musiał poczekać. Nie wpisałam cię na dziś do kalendarza.

- Powiedz mamie, że wypadło ci coś ważniejszego.

Nie sprawiał wrażenia, że czuje się skrępowany. Leżał na plecach, z rękami pod głową, zupełnie jakby zamierzał cały dzień zostać w jej łóżku... Czekać, aż wróci, by mogli kontynuować to, co przerwali... Poczowała, jak jej ciało reaguje gwałtownie na jego podniecenie.

- Zdawało mi się, że zależy ci na rozmowie - powiedziała, rozglądając się w poszukiwaniu butów. Musiała robić cokolwiek, żeby odwrócić myśli od tego, co podpowiadało jej ciało.

- Zgadza się. Trochę się zabawimy, potem porozmawiamy, coś zjemy... Mamy cały dzień.

- Może ty. Ja mam sporo pracy - odparła. - Skorzystaj z tylnych schodów. Prowadzą prosto na ulicę. Tylko uważaj na drabiny, które Dave zostawił w przedsionku.

- Co twoja mama ma do roboty w sklepie?

- Pomoże mi doprowadzić wszystko do ładu przed jutrzejszym otwarciem.

- Przydam ci się, jeżeli trzeba będzie przenieść coś ciężkiego.

- Przecież masz tu tylko garnitur, McLeod. - Bardzo drogi garnitur, dodała w myśli. Jeździł harleyem, miał starego jaguara, urodziny córki urządził na zamku... Gregor McLeod na pewno nie był prostym fachowcem.

- Pójdę do domu i się przebiorę.

- Nie! - powiedziała trochę zbyt ostro i zaraz dodała łagodniejszym tonem: - Nie rozumiesz. Mama rzuci na ciebie okiem i zaraz wszystko zrozumie...

- Co takiego? Że spędziliśmy ze sobą noc? Nie jesteś małym dzieckiem, Juliet.

- Nie o to chodzi. Tylko...

Dlaczego, do cholery, ma mu coś wyjaśniać?

- Już i tak wystarczająco pogmatwałam swoje życie. To ona pomogła mi się pozbierać. Wystarczy, że na ciebie spojrzy, i będzie wiedziała, że jesteś facetem, jakiego każda rozsądna, zdrowa na umyśle kobieta powinna unikać. Spójrzmy prawdzie w oczy, McLeod. Nie jesteś grzecznym chłopcem.

Zrobił obrażoną minę.

- To nieprawda. Jestem greczny. I bardzo, bardzo dobry. Ostatniej nocy mówiłaś mi to wiele razy.

Juliet zaczerwieniła się.

- Jools! - Przez okno widziała, że zniecierpliwiona mama odeszła od drzwi księgarni i patrzyła teraz w górę. - Obudziłaś się już?

- Zaraz zejść - odkrzyknęła. Zabrała klucze i unikając wzroku Grega, powiedziała: - Muszę iść.

Wyskoczył z łóżka i zablokował drzwi, nim zdążyła przejść przez pokój.

Chciał jej tyle wyjaśnić... Ostatniej nocy wszystko zrozumiał. Od pierwszej chwili gdy usłyszał jej głos, od momentu, kiedy drwiąco odepchnęła jego wątpliwe zaloty, wiedział, że to coś znacznie więcej niż zwykły flirt. Pragnął z nią być i uczynić ją szczęśliwą. I to właśnie musiał jej powiedzieć.

Sądził, że będzie miał na to cały dzień. Wyzna całą prawdę... między kochaniem się, zjedzeniem śniadania w łóżku, wspólnym prysznicem w tak maleńkiej kabinie, że woda ledwo mogła się wcisnąć między ich ciała.

- Przepuść mnie, McLeod.

A teraz znów używała jego nazwiska. Popełnił błąd, nazywając ją księżniczką. Wcześniej odniósł wrażenie, że nie przywiązywała do tego wielkiej wagi. Czemu więc teraz miało to dla niej takie znaczenie?

- Zatrzymaj się na chwilę. Jools? - Miał nadzieję, że zdoła ją rozśmieszyć. - Dostaję po uszach za każdym razem, gdy nazwę cię „księżniczką”, a swojej mamie pozwalasz mówić do siebie „Jools”?

- Zasłużyła na to, żeby nazywać mnie, jak jej się żywnie podoba. Odsuń się, McLeod.

Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- To koniec? - spytał z rozpaczą, czując, że traci coś nie-

zwykle cennego. - Odprawiasz mnie? I nawet nie dostanę całusa?

- Nie... Żadnych pocałunków - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Postawiłam ci kolację. Wszystkie długie zostały splecione. Postaraj się wyjść możliwie cicho.

Nic dotąd nie zabrzmiało tak ostatecznie. Jak pożegnanie na zawsze.

Jednak teraz już nie patrzyła na niego. Prawdę mówiąc, nie patrzyła nigdzie... Kiedy po omacku sięgnęła do klamki, upuściła jeden but.

Pochylili się jednocześnie, ale Greg był odrobinę szybszy.

- Dziękuję - powiedziała, podnosząc na chwilę błyszczące od łez oczy.

Potykając się, zeszła na dół i wpuściła mamę do środka.

- Dobry Boże, Jools! Wyglądasz okropnie.

- Zaspałam, przepraszam. Trochę zarwałam noc. - Wspaniała noc, która przyniosła dużo bólu...

Oszukiwała się, licząc na to, że jedna noc jej wystarczy. Pokusa, by spędzić z nim długie, leniwe dni, uświadomiła jej, jak bardzo się myliła. Jednak po całym dniu w ramionach Gregora McLeoda w ogóle nie potrafiłaby pogodzić się z jego stratą.

- Przepracujesz się - rzuciła karcąco matka.

- Nieprawda. Muszę być ciągle zajęta. Zastanawiałam się nad opracowaniem poradnika dla kobiet - mówiła szybko. Nie była tylko pewna, czy bardziej chce zająć uwagę matki, czy swoją. - Na temat zarządzania czasem. Mogłabym także napisać parę artykułów do pism kobiecych... Co o tym myślisz?

Mama wzruszyła ramionami, najwyraźniej uspokojona.

- Może powinnaś pomyśleć o napisaniu kryminału. Kobieta unika kary po zamordowaniu niewiernego faceta, a potem robi wielką karierę.

- No proszę. Dwa znakomite pomysły jednego ranka. - Juliet zmusiła się uśmiechu. - Chyba umieszczę je na swojej liście, zanim wylecą mi z głowy. - Rozejrzała się za swoim notatnikiem, ale po chwili zorientowała się, że w pośpiechu zostawiła go na górze. - No nic, zrobię to później. Najpierw musimy ułożyć książki na półkach, ustawić nowości i zająć się dekoracją wystawy.

Jeśli znajdzie wystarczająco dużo zajęć, przynajmniej nie będzie miała czasu, by pogrążyć się w bólu.

To było jak uderzenie obuchem.

Nie potrafili by powiedzieć, ile czasu stał jak wmurowany. Od początku wiedział, że skądś musi ją znać. Coś w jej oczach, głosie, nawet w kolorze jej włosów - jaśniejszych niż mysie, ale nie całkiem blond - od pierwszej chwili nie dawało mu spokoju.

Była chudym dzieciakiem z luźno zaplecionym warkoczem. Stała w grupie dokuczających jej dziewcząt. Otoczyły ją kołem, przedrzeźniając jej wymowę. Próbowwała się wyrwać, a wtedy potknęła się i wysypała zawartość swojej torby. Podszedł do niej, uratował zeszyt, który próbowała złapać jedna z tych smarkul, i pomógł jej pozbierać resztę rzeczy.

Oczy miała zalane łzami i drżała jak liść osiki, ale gdy podawał jej zeszyt, podniosła wzrok i powiedziała:

- Dziękuję. - Jej głos był cichy i słodki.

- Zawsze do usług, księżniczko.

Nigdy nie poznał jej imienia, nazywał ją po prostu księżniczką, bo mówiła, jakby nią była. Od tamtego zdarzenia wypatrywał jej i gdy był w pobliżu, pilnował, żeby nikt jej nie dokuczał.

Musiąca go rozpoznać już w pierwszej chwili, tylko dlaczego, na Boga, nic nie powiedziała? Nie, to było głupie pytanie.

Wiedział, jaka jest odpowiedź. Ledwie otworzyła drzwi, oznajmił, że jest jej rycerzem. Stał tam jak idiota, zadowolony z siebie, uważając, że za dobry uczynek należy mu się ciepłe przyjęcie. Zamiast tego powitała go długa cisza. Poznała go i czekała, aż on ją pozna.

Przecież to bez sensu. Miała nad nim ogromną przewagę. Nie zmienił się aż tak bardzo. Trochę zmężniał, był oczywiście starszy, ale to wszystko. Cholera, nawet jeździł na motorze, tak jak dawniej. Natomiast Juliet...

Mała księżniczka zmieniła się nie do poznania. Stała się piękną, pewną siebie, seksowną kobietą. Jak niby miał się zorientować, że była tym żalosnym dzieciakiem w ubraniu ze sklepu z używaną odzieżą?

Tyle że on wiedział. Nie był tego świadomy, ale wiedział. .. Dlatego właśnie bez zastanowienia nazwał ją księżniczką.

Myślała, że ją okłamał, a przecież to nieprawda. Była jedna jedyna. I zawsze tak będzie. Musiał jej to powiedzieć... Zrobić coś, żeby mu uwierzyła.

Powinna go wysłuchać, a był tylko jeden sposób, żeby przyciągnąć jej uwagę. Nie tracąc czasu, ubrał się, ze stolika wziął swoje klucze, portfel i notatnik, po czym wezwał

taksówkę. Miał nadzieję, że jego architekt nie ma na dzisiaj żadnych planów...

Juliet była na ostatnich nogach. Pracowała cały dzień bez wytchnienia, żeby tylko nie musieć myśleć. Była zbyt zmęczona, aby cokolwiek zjeść, niewiele też piła, a wyprawa do szpitala całkiem ją wykończyła. Kiedy weszła na poddasze, miała tylko tyle siły, żeby paść na łóżko. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że jej pościel przesiąkła wyrazistym, męskim zapachem Gregora McLeoda i że upranie jej będzie najtrudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek musiała wykonać.

- Skoro już skończyliśmy ze sklepem, wezmę się znowu do malowania mieszkania, panno Howard.

- Wolałabym, żeby pomalował pan wejście do sklepu, Dave. - Wyszła z nim na zewnątrz. - Wszystkie elementy na czarno, a litery na złoto. Zna pan jakiegoś dobrego listernika? Postanowiliśmy z Maggie, że sklep będzie się nazywał „Zabójczy Pocałunek”.

- Zrobię wszystko zgodnie z pani życzeniem, panno Howard - powiedział grzecznie.

Pomyślała o garniturze McLeoda i stłumiwszy poczucie winy, wyjaśniła, na czym jej zależy.

- Greg? Gdzie jesteś?

- Nie mogę w tej chwili rozmawiać, Neil.

- Więc przynajmniej posłuchaj. Możliwe, że Marty Duke prysnął z kraju, ale najwyraźniej nie pomyślał o zabranii żony. I teraz ona rozmawia z prasą...

Drabiny przed wejściem skutecznie odstraszyły niezdecydowanych klientów, ale Juliet i tak miała dużo pracy. Pakowała tytuły, które nie pasowały do specjalizacji sklepu. Z kolegą Saffy omówiła sprawę strony internetowej księgarni. W oknie wystawowym umieściła plakat, który zapraszał do udziału w spotkaniach klubu czytelników powieści sensacyjnych. Wszyscy chętni mogli się w tej sprawie kontaktować z jej matką.

Po lunchu wyszła Saffy do piekarni po ciastka dla czytelników romansów, którzy tego popołudnia mieli swoje comiesięczne spotkanie.

- Juliet, czy twoja mama mieszkała kiedyś na Milsom Street? - spytała Saffy po powrocie.

- Dawno temu. - Zanim ona przyszła na świat. - Cemu pytasz?

- Ktoś zobaczył jej nazwisko na plakacie i spytał mnie o nią.

Juliet podniosła się i podeszła do drzwi. Stał tam dość wysoki, szczupły, elegancki mężczyzna.

- Jestem Juliet Howard - przedstawiła się, podając mu rękę. - To pan pytał o moją matkę?

Mężczyzna gwałtownie pobladł. Przeraziła się, że może zemdleć, i pospiesznie poprowadziła go do jednego z foteli.

- Saffy, przynieś wodę.

- Nie, dziękuję. Nic mi nie dolega, naprawdę. Jestem po prostu zaskoczony. Jest pani bardzo do niej podobna. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jakoś nie pomyślałem, że wyszła za męża i ma dzieci.

- Słucham?

- Becky. Becky Howard jest pani matką? - Nie czekał

na odpowiedź. - W pamięci zawsze zachowuje się obrazy z przeszłości, nie uważa pani? Dla mnie na zawsze pozostała dziewczyną w dzinsach i białym podkoszulku, która stała na peronie i machała mi na pożegnanie.

- Pan znał moją mamę?

- Byliśmy zaledwie nastolatkami. Ja stąd... wyjechałem. Podałem jej swój adres, gdy tylko wprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Obiecywała, że będzie do mnie pisać...

Nagle zdała sobie sprawę, że ma przed sobą swojego ojca. Wcale jej nie porzucił, nie uciekł. W ogóle nie wiedział o jej istnieniu. Jej matka nie została opuszczona przez swojego młodego kochanka, lecz najzwyczajniej w świecie nie powiedziała mu, że ma córkę.

- Gdzie pan pojechał?

- Do Kornwalii. Mój ojciec pracował w banku i przenoszono go za każdym razem, gdy dostawał awans. Nie chciałem jechać, ale oboje chodziliśmy jeszcze do szkoły. Zamierzałem tu wrócić, ale kiedy nie pisała do mnie, pomyślałem, że spotkała kogoś innego.

- A pan? Spotkał pan kogoś innego?

- Nikogo, kto choćby umywał się do Becky. Nikogo, kogo mógłbym poślubić...

- Saffy... - Mimo że w głowie miała kompletny mętlik, starała się zachować spokój. - Bardzo cię proszę, zadzwoń do mojej mamy. Powiedz jej, żeby zostawiła wszystko i przyjechała tutaj. Natychmiast. A potem zrób kawę. Albo herbatę... - Głos wiał jej w gardle. - Przepraszam. Nie wiem, jak się pan nazywa.

- Walker. James Walker. Z przyjemnością napiję się herbaty. Dziękuję.

- Jools? - Mama wpadła do księgarni pięć minut później. - Co się stało?

W tym momencie dojrzała mężczyznę, który powoli podniósł się z fotela. Upuściła torebkę i zakryła dłońmi usta.

- James... - Wyciągnęła rękę, cofnęła ją, ale zdążył ją chwycić i już po chwili padli sobie w ramiona.

- Co się dzieje? - spytała Sany.

- To romans, Saffy. Chłopiec poznaje dziewczynę, traci ją, a później znów ją odnajduje. - Juliet zamaszystym gestem wskazała dział powieści romantycznych. - Możesz o tym przeczytać...

W tym momencie jej wzrok padł na gazetę, którą mama upuściła razem z torbą.

„Kim jest tajemniczy inwestor”.

Tuż pod tytułem widniało zdjęcie Gregora McLeoda.

Kiedy za jej plecami rozległ się dzwonek, wiedziała, kto wchodzi, zanim odwróciła głowę.

-Juliet...

- Pan McLeod. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? Chce pan obejrzyć miejsce, gdzie powstanie parking?

- Miałem nadzieję, że zdążę przyjechać, zanim to zobaczysz, Juliet.

- Dlaczego? - Czuła niespodziewany spokój, a może po prostu była odrętwiała. - Co by to zmieniło?

- Chciałem ci powiedzieć... - Zawahał się, patrząc na jej matkę i Jamesa, którzy przyglądali się im obojgu.

- Och, nie musisz się wstydzić. Chciałeś mi coś powiedzieć wczoraj rano. Czy sądziłeś, że skoro poszłam z tobą do łóżka, zapomnę o Priors Lane i tych wszystkich ludziach? Tak jak ty zapomniałeś o Maggie?

W księgarni nagle zrobiło się tłoczno, ale nie zwracała na to uwagi. Im więcej osób słyszało, jakim był człowiekiem, tym lepiej.

- Wydaje ci się, że jesteś strasznie sprytny, McLeod. Udałaś, że nie interesujesz się, jak chcemy uratować Prior's Lane, ale nie pozwalałaś mi przestać o tym opowiadać. Kiedy odbiegałam od tematu, zaraz zadawałaś mi właściwe pytanie. Nawet pozwoliłaś mi zapłacić za ten przywilej, ty sknero.

- Juliet, pozwól mi wyjaśnić...

Zdawała sobie sprawę, że przesadziła. Jednak całe życie zachowywała się poprawnie, a tymczasem wszyscy wokół niej wciąż kłamali...

- Cóż to? Już nie jestem księżniczką?

Chyba zorientował się, że nic, co powie lub zrobi, nie zdoła wytłumaczyć jego zdrady, bo nie odpowiedział.

- Widzę, że nie. Cóż, może wydaje ci się, że wygrałeś. Ale nic z tego. - Zrobiła krok w jego stronę. - Mam dość zastanawiania się nad tym, czego sobie życzą inni, dość uciekania przed porównaniami, dość kłamstw. - Palcem stuknęła w połę miękkiego kaszmirowego płaszcza. - Rób, co chcesz, ale nigdy nie pozwolę ci zniszczyć tego, co ludzie sobie cenią. - Znów stuknęła go palcem.

Chwycił jej dłoń, zanim zrobiła to po raz trzeci.

- Kocham cię, Juliet.

Roześmiała się.

- Och, daj spokój. Widzę, że naprawdę jesteś zdesperowany.

Odwróciła się do niego plecami i w tym momencie stanęła twarzą w twarz z kilkunastoma kobietami, które wpatrywały się w nich z otwartymi ustami.

- Jesteście z klubu czytelników romansów? - spytała. -
Przepraszam. Mamy dziś niezwykły dzień. Ni stąd, ni zowąd
pojawił się mój zaginiony ojciec, a także człowiek, który chce
na tym terenie zbudować parking. Jeszcze tylko brakuje face-
ta, który zniszczył moją karierę, i byłibyśmy w komplecie.

- Juliet!

Tym razem to była jej matka, ale zignorowała ją.

- Proszę panie do drugiej części sklepu. Postaramy się,
żeby było wam jak najwygodniej. Saffy przygotuje kawę
lub herbatę... - Kiedy nikt się nie odezwał, dodała: - Pro-
szę mi wybaczyć, ale muszę wyjść... i się wykrzyczyć.

Nim dobiegła do mieszkania na poddaszu, pragnienie,
by móc głośno wyrazić swoje emocje, całkiem ją opuściło.
Nie trzeba było aż tyle czasu, aby zrozumieć, że ktoś z tych
ludzi może pójść za nią. Na razie nie była gotowa, żeby
rozmawiać z kimkolwiek.

Wcześniej czy później będzie musiała przeprosić za
swoje zachowanie, ale jeszcze nie teraz. Najpierw powinna
się pozbierać, pogodzić z faktem, że została tak haniebnie
zdradzona.

Złapała płaszcz i torebkę i korzystając z tylnych scho-
dów, zbiegła na dół. Kiedy otworzyła drzwi, okazało się, że
Gregor przewidział jej zamiary i stał tuż za progiem.

- Musimy porozmawiać - odezwał się.

- Nie mam nic do powiedzenia...

- Ale ja mam. Pójdziemy na górę, czy raczej wolisz się
przejsić?

-Ja...

- W takim razie przespacerujemy się - uznał. Przytrzy-

mał jej płaszcz, czekając, aż wsunie go na ramiona. - Jest zimno - powiedział, gdy się zawahała.

W milczeniu włożyła okrycie, zatrzasnęła drzwi i nie oglądając się, ruszyła w stronę rzeki. Zatrzymała się dopiero na moście. Oparła łokcie o balustradę, próbując odzyskać oddech i powstrzymać łzy.

- Ten mężczyzna w księgarni to twój ojciec? - spytał Greg, podając jej kubek parującej herbaty, którą kupił w budce z przekąskami.

- Na to wygląda.

- Jak się z tym czujesz?

Podniosła na niego wzrok. Zamierzał z nią rozmawiać o niespodziewanym pojawieniu się ojca?

- A jak ci się zdaje? Matka mnie okłamała. Mówiła... pozwoliła mi wierzyć, że porzucił ją... i mnie.

- A nie zrobił tego?

- Nie miał pojęcia o moim istnieniu. Kiedy mnie zobaczył, pomyślał, że wyszła za kogoś innego... - Odwróciła się do niego, nie przejmując się już, że zobaczy jej łzy.

- Czemu to zrobiła?

- Możesz ją spytać. - Wzruszył ramionami. - Albo spróbuj sama sobie odpowiedzieć. Musieli być wtedy bardzo młodzi.

- Chodzili jeszcze do szkoły.

- Cóż, może nie chciała mu wiązać rąk. Myślała, że to da mu szansę, aby coś osiągnął. Musiała bardzo go kochać. Gdyby się dowiedział, nic by go nie powstrzymało, żeby zostać.

- Skąd wiesz?

- Bo gdybym ja pozostał w nieświadomości, moja córka czułaby do mnie to samo, co ty do niego.

- Sądysz, że Fiona myślała o twojej przyszłości, gdy milczała na temat dziecka?

- Fiona myślała wyłącznie o sobie. No, ale my się nie kochaliśmy.

Juliet upiła łyk herbaty.

- Wsypałeś cukier. - Skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Uznałem, że ci nie zaszkodzi - odparł, po czym zmienił temat. - Juliet, ja cię nie okłamałem.

- Nie powiedziałeś mi prawdy.

McLeod utkwiał wzrok w rzece.

- Kiedy nazwałem cię księżniczką, to był po prostu zwykły odruch.

Zmarszczyła brwi. Nie o to jej chodziło i dobrze o tym wiedział...

- Nie używam tego słowa na co dzień, chociaż nie dziwię się, że tak mogłaś pomyśleć. W gruncie rzeczy mówiłem tak tylko do jednej osoby. W szkole była taka mała chuda dziewczynka. Miała wielkie srebrnoszare oczy...
- Juliet zadrżała, a wtedy zdjął szalik, owinał nim jej szyję i kciukiem otarł łzę z jej policzka. - Wtedy również były pełne łez.

- Gregor...

- Upuściła torbę, a ja podniosłem jej rzeczy. - Z kieszeni wyjął zniszczony zeszyt. - I ten notatnik.

- Zastanawiałam się, gdzie się podział - odezwała się.

- Przez pomyłkę wziąłem go wczoraj rano. - Położył zeszyt na balustradzie. - Mam bardzo podobny.

- Wiem, zapisywałeś tam wymiary okna. - Spojrzała na czarny notatnik. - Pewno go przeczytałeś...

- Może potrafiłbym oprzeć się pokusie, gdybym był ry-

cerzem bez skazy. Ale nie jestem. Muszę powiedzieć, że ten dokument zrobił na mnie wrażenie. Miałaś bardzo jasno określone cele i w dodatku prawie wszystkie osiągnęłaś.

- Jestem bardzo zdyscyplinowana. Wstyd mi, że nie zdobyłam stanowiska w zarządzie firmy.

- Bardziej interesuje mnie to, że większość nieodhaczonych pozycji jest po stronie z przyjemnościami. Chyba powinnaś poświęcić trochę czasu, żeby je realizować.

Przecież już to robię, pomyślała.

- Powinnaś zacząć od sterczących włosów?

- Twoim włosom nic nie brakuje... Ale skoro tego chcesz, czemu nie?

- Chyba nigdy mi na tym nie zależało. Chciałam tylko wyglądać jak wszyscy.

- W każdym razie nie ma powodu, żeby rezygnować z wycieczki do Disneylandu w Paryżu. Ja również nigdy tam nie byłam.

- To zachowam do chwili, gdy będę miała co najmniej czworo własnych dzieci.

- Zauważyłem tę pozycję na twojej liście. Nie gniewaj się, że to powiem, Juliet, ale nie robisz się młodszą. Powinnaś zająć się tym jak najszybciej...

- Dziękuję ci bardzo.

- A ponieważ zostałem wybrany na ich ojca, chętnie służę pomocą. Chociaż wolałbym, żebyś najpierw za mnie wyszła. - Do tej pory oboje byli bardzo poważni, ale nagle w jego oczach pojawił się uśmiech. - Taka propozycja nie jest dla mnie chlebem powszednim, Juliet. W gruncie rzeczy składam ją po raz pierwszy.

- Mówisz o dzieciach czy o małżeństwie?

- O jednym i drugim.

Miała nadzieję, że oczy nie zdradzą jej uczuć.

- Dzięki, McLeod, ale trzeba czegoś więcej niż obietnicy spółdenia czworga dzieci i wycieczki do Disneylandu, żebym zapomniała o twoich planach dotyczących Priors Lane.

- Czy ktoś ci kiedyś zwrócił uwagę, księżniczko, że stawiasz rycerzom bardzo wysokie wymagania?

- Spodziewałbyś się czegoś innego po matce swoich dzieci, McLeod?

- Raczej nie - przyznał. - Może gdybym pokazał ci, co zamierzam zrobić w tej części miasta, zgodzisz się ponownie przemyśleć moją propozycję.

Nie czekając, aż wyrazi zgodę, z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął dużą kopertę.

- To wyłącznie artystyczna wizja - powiedział, rozkładając arkusz papieru. - Hilliard naszkicował to dla mnie wczoraj.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w rysunek, na którym Prior's Lane wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Nawet był tu śliczny kuty żelazny dach, który chroniłby kupujących przed deszczem czy wiatrem.

- Nie wiem, co powiedzieć, Gregor.

- Tak - podpowiedział, składając rysunek.

- Tak? - powtórzyła niepewnie.

- Cóż, jeśli powiesz „nie”, może jednak zbuduję parking.

- Ależ to szantaż.

- Sama niedawno powiedziałaś... Nie jestem grzecznym chłopcem.

Nie potrafiła już dłużej powstrzymać uśmiechu.

- Może byłam trochę za ostra, chociaż...
- Boże, coś jeszcze?
- Myślałam o warsztacie Duke'a. Wielu dobrych fachowców straciło pracę. Przyszło mi do głowy, że mogliby założyć spółdzielnię. Chyba znalazłoby się jakieś miejsce na biuro...
- Pod warunkiem, że ty wszystko zorganizujesz.
- Mogę się tym zająć.
- Nie wątpię, ale w takim razie należy ustalić coś jeszcze.
- Wyjął z kieszeni anulowane pokwitowanie operacji z jej karty kredytowej.
- Co to jest?
- Zapewnienie, że gdy w końcu powiesz „tak”, nie wyjdiesz za sknerę.

Przez chwilę patrzyła na przedarty kwit, po czym podniosła wzrok na Gregora. Kiedy wziął ją w ramiona, słowa nie były już potrzebne. Jej usta znacznie wymowniej i żarliwiej wyrażały zgodę. Tak sugestywnych słów nie znalazłoby się w żadnym leksykonie. Może dlatego nie słyszeli, gdy czarny zeszyt zsunął się z balustrady, z pluskiem wpadł do rzeki i bez śladu zniknął pod wodą.

- Co to? Listy z wyrazami miłości dla nowego przybysza?

Juliet podniosła wzrok na męża, który z uwielbieniem wpatrywał się w niemowlę leżące w kołysce. Stłumiła uśmiech, widząc, ile mocy ma w sobie takie małe różowobiałe zawiniątko.

- Tu jest kartka od Chloe, która z całego serca dziękuje, że wreszcie dostała siostrzyczkę. Przyjedzie na weekend,

żeby pozachwycać się nią osobiście... - Podała mu list. - A to od mamy i taty. Mam straszne wyrzuty sumienia, że przerwali miesiąc miodowy...

- Przecież zawsze mogą pojechać w następną podróż. A to co?

- To? - Podniosła list napisany na eleganckim kremowym papierze. - To tylko parę słów od lorda Markhama. Pyta, czy jestem gotowa przyjąć stanowisko w zarządzie firmy. Z jakiegoś powodu udziałowców nie zachwycała nominacja jego chrześniaka.

- Ile ci proponują?

- Dwa razy więcej, niżbym wzięła.

- Skusiło cię to?

- Ani trochę. - Upuściła list na podłogę, po czym wyjęła córeczkę z kołyski, włożyła ją w ramiona Grega i pochyliła się, żeby go pocałować. - Wszystko, czego pragnę, mam tutaj.